

Wychodzi co niedzielę pod redakcją prof. Mieczysława Dąbrowskiego.

Dodatek do Nru 242-go „ILUSTROWANEGO KURYERA CODZIENNEGO” z dnia 8-go września 1930 r.

Dr WŁADYSŁAW BOGATYŃSKI.

# KRÓL NIE=MALOWANY.

(W 350-lecie zdobycia przez Stefana Batorego Wielkich Łuków na Moskwie: 1580—1930).

Opinia współczesna o królu. — Wizerunek fizyczny i duchowy. — Król-wojownik. — Wojna o Inflanty i zdobycie W. Łuków. — Plan Batorego wyparcia Turków z Europy i zdobycia przodownictwa Polski na Wschodzie — Rządy wewnętrzne pod hasłem dobra państwa i narodu. — Dziedzina religii i oświaty. — Kultura odrodzenia. — Dwór królewski i jego rola. — „Ciężkie królowanie”. — Wielki król.

Kraków, 7 września.

W rocznicę zdobycia przez Polskę twierdzy Wielkich Łuków na Moskwie w wojnie o Inflanty, godzi się poświęcić wspomnienie zwyciężskiemu wodzowi wyprawy wielkoluckiej, zarazem jednemu z najznakomitszych naszych władców, Stefanowi Batoremu.

Współcześni pochlebnie, często entuzjastycznie wyrażali się o królu. Dziejopis Heidenstein zapisał: „Natura obdarzyła króla najświetniejszymi przymiotami umysłu i ciała, jakby w jednej jego osobie pokazać chciała całą dokładność ludzką. Miał on w twarzy, w postaci, w mowie dziwną powagę”. Jeden z nuncjusów papieskich w Polsce, charakteryzując króla, wyraził się o nim, że „...jest poważny i rozwagi, wszystkim na podziw”. Z rozmowy jego widać, że się dobrze zna z doświadczenia na wszystkim, „a najbardziej na zarządzaniu państwem i na sposobie prowadzenia wojen ważnych”.

Źródła nie przesadziły. Już sam wizerunek fizyczny króla uzewnętrzniał niejako jego niezwykły wizerunek duchowy. Męska postać króla zwiastowała siłę, energję i ducha rycerskiego. Dziesięciolecie jego rządów (1576—1586) potwierdziło w całej pełni wszystkie jego zalety umysłu i serca. Na wszystkich jego dziełach i sprawach widać żelazną wolę i wytrwałość, energję, rycerskość i dumę królewską. *Sum Rex vester, non fictus neque pictus* — *jestem waszym królem, prawdziwym, nie malowanym* — wołał król w wstępie swego panowania do sejmu, gdy ciężar wojny chciał zwałić na króla.

Był jednak przede wszystkim wojownikiem, żołnierzem i wodzem. W polu, w obozie, w swoim żywiole. Na wojnę sam ruszał, nie wyręczał się hetmanami, sam wszystkiemu kierował, znosił obojętnie i wytrwale trudy wojenne. Wojna była poniekąd jego pasją. Wojnę chciał zdobyć chwałę dla państwa, w którym królował, wierząc przytem w pomoc Bożą, wojny nie unikał, lecz jej pragnął. Pierwsze kroki Batorego jako króla polskiego były właśnie wojenne: musiał przywracać do uległości Gdańsk, który chciał się oderwać od Polski. Skorzystał zaś z zajęcia króla wojną pruską car Iwan Groźny i uderzył na Inflanty. Batory z całą rozwagą działał: najpierw upokorzył Gdańsk, a potem dopiero świętnie przygotował wyprawę przeciw Iwanowi. Uzyskał od sejmu niezwykle wysokie podatki, zorganizował wojsko z wieśniaków, wybranych z łanów w dobrach królewskich (t. zw. piechota wybraniecka lub łanowa), z Kozaków, z najemników niemieckich i węgierskich i ruszył na wojnę, której znakiem było europejskie, skoro Zachód walczył ze Wschodem.

W pierwszej wyprawie na Białorusi obległ Polock i zdobył go, oraz zajął sąsiednią okolicę (1579), otwierając sobie drogę w głąb państwa moskiewskiego. W następnym roku podjął król wyprawę tym razem na Wielkie Łuki. Pozwoliły ją zorganizować nowe podatki, uchwalone przez sejm pod wrażeniem nie tylko powodzenia wojennego króla, ale także i jego kanclerza Jana Zamoyskiego,

który, podobnie jak w pierwszej wyprawie, wziął udział czynny i w tej kampanii wojennej, okazując wybitny talent wojskowy.

On też ruszył przodem przed królem i zdobywszy Wielki, połączył się z królem pod Wielkimi Łukami 26 sierpnia 1580 r. Rozporządzając 35 tysiącami wojska, rozpoczął król zdobywanie zamku, którego fortyfikacje

Inflanty, Polock i Wielki, co ważniejsze jeszcze, powstrzymała Moskwę w pochodzie na Zachód i nad Bałtyk.

Cała wojna o Inflanty wykazała niepospolitą zdolność organizacyjną i strategiczną króla, który umiał w pracy dobrać sobie ludzi, spośród nich Jana Zamoyskiego, znakomitego męża stanu i wodza. On też dzielił zasługę

działalności wojskowo-wojennej Batorego, za dziwnia ta jego bezpośredniość, to nie w mniejszej mierze w polityce wewnętrznej. Jako wybraniec szlachty-narodu rozumiał, że nie ma być jego powołaniem narzędziem, lecz właśnie żywym wyrazem władzy i powagi, wyrazem całej potęgi narodu, królem nie-malowanym, lecz takim, który umie i chce rządzić i rozkazywać. W ciągu swego krótkiego panowania pokazał to wielokrotnie, tłumiąc nazbyt nieraz wybujałą wolność i anarchję. Znane jest powszechnie postąpienie króla ze Zborowskimi, z których jednego, Samuela, banitę, urągającego prawu bezprawnym powrotem do Polski, kazał ściąć według prawa, a innych, Krzysztofa i Andrzeja, pozwał przed sąd sejmowy za wicherzenia i Krzysztofa skazał na konfiskatę dóbr i infamję. Dla dobra narodu i państwa, nie w celach osobistych, czy dynast., dążył król Stefan do wzmocnienia władzy monarchicznej i rządowej. Niezawsze jednak mógł skutecznie działać w tym kierunku. I tak, chcąc sobie skaptować szlachtę na wojnę moskiewską, dał jej trybunały, czyli zrzekł się na jej korzyść sądownictwa apelacyjnego w sprawach cywilnych. Była to dalsza zdobycz szlachty w jej akcji budowania Rzplitej szlacheckiej. Ale zato wzywał król sejmy do obrad nad reformą skarbu i elekcji. Nie zdołał tych reform przeprowadzić wskutek opozycji, głównie szlachty małopolskiej, innowierczej, prowadzonej przez Gisków i Zborowskich, urażonych na króla z powodu odsunięcia ich od tronu, a fortytowanie Zamoyskiego i Węgrów.

Również w dziedzinie religii i oświaty nie zapominał o celu politycznym. Rozumiejąc, że jedność polityczna państwa, jego siła, ład i porządek wewnętrzny zależą od jedności religijnej, dążył do restauracji katolicyzmu. Popierał Jezuitów, w ich ręce oddał szkolnictwo i wychowanie młodzieży, szkołę jezuicką w Wilnie podniósł do godności akademii, ale mimo to przestrzegając tolerancji religijnej i ją nakazywał. Takim umiejętnym postępowaniem nie tylko utrzymał Batory spokój wewnątrz kraju, ale także przyczyniał się do ostatecznego zwycięstwa katolicyzmu.

W trosce o dobro państwa i społeczeństwa doceniał Batory znaczenie oświaty jako wychowawczyń obywateli. Oprócz wspomnianego już popierania szkolnictwa jezuickiego i erylowania akademii wileńskiej, opiekował się też Akademią Jagiellońską, a nawet zamierzał, według projektu Zamoyskiego, założyć konkurencyjną dla niej akademię na siedzibę humanizmu. Z obawy jednak przed nowościami religijnymi w razie ściągnięcia obcych uczonych, odstąpił od zamiaru, tem chętniej, że uniwersytet krakowski otwarł w końcu podwoje zwycięskiemu humanizmowi.

króla nie tylko w tej wojnie, ale w całym panowaniu, jako jego najbliższy współpracownik. Król i Zamoyski uzupełniali się niejako, to też mówiono o nich, że „Król nie wchodził na sejm bez Zamoyskiego, a Zamoyski nie chodził na wojnę bez króla”.

Gdy nastąpił pokój, snuł „wojenny plan” plan wielkiej wyprawy przeciw Turkom. Układał, że zabezpieczywszy kraj od napadów tatarskich podarunkami i załogą wojskową, pozostawioną w domu, wkroczy na czele 100 tysięcy do Mołdawji i Wołoszczyzny i uczyni je podstawą dalszych operacji wojennych. Przez zdobycie jeszcze znacznej twierdzy w Bułgarii, spodziewał się odciąć pomoc turecką z Węgier dla zagrożonych prowincyj i poruszyć przeciw Turkom Greków i inne ludy bałkańskie, a otworzyć drogę na Adrianopol i Stambuł. Wtedy, albo się zmusi Turków do przyjęcia walnej bitwy z rozzerwaniem ich siłami, albo, przeciwnie, dowoży z pomocą floty, zmusi się do cofnięcia. Skłoniłoby to Moskwę, Kaukaz, Persję do powstania, któreby dopomogło do wygnania Turków z Europy. W wykonaniu tak śmiałego i świetnego planu, dążącego do zdobycia przodownictwa Polski na Wschodzie, miało współdziałać całe chrześcijaństwo, olbrzymia liga, złożona z papieża, Hiszpanji, Wenecji i innych księstw chrześcijańskich. Niestety, niespodziewana i przedwczesna śmierć króla Stefana położyła kres tym górnym jego wzlotom.

Jeśli w polityce zagranicznej i w całej



STEFAN BATORY

Według miniatury z trumny króla w katedrze na Wawelu.



JAN ZAMOYSKI

Hetman i kanclerz wielki koronny.

drewniane osłaniała gruba warstwa ziemi i darni, a dostępu doń broniła rzeka Łowati z jednej strony, a staw z drugiej.

To też z początku daremne były wysiłki Węgrów i Polaków, by podłożyć ogień. Dopiero, gdy Zamoyski skierował atak na wysuniętą wieżę, ułatwiony do niej dostęp wykopaniem rowu, udało się ochotnikowi Wielechowi podpalić ją, a pożar, rozszerzwszy się szybko, zadecydował o losie twierdzy, która już po poddaniu się 6 września 1580 r., wyleciała w powietrze z powodu zapalenia się prochów. Batory kazał twierdzę odbudować. Dla jej zabezpieczenia zdobyto jeszcze kilka zamków w okolicy.

Lecz i ta druga z rzędu wyprawa nie zakończyła wojny inflandzkiej. Musiał król przygotować w następnym roku nową, trzecią wyprawę, z trudem zdobywszy od sejmu pieniądze, znowu dzięki interwencji swojej, a zwłaszcza Zamoyskiego. Mimo przebycia dwóch wypraw i trudności w ich przygotowaniu, zapal wojowniczy nie opuszczał króla. Świadczyło o tem jego wystąpienie na ostatnim sejmie. Wołał wtedy do senatorów: „Bóg mi świadkiem, że gdyby baczone na prośbę Rzplitej, nie tylko pomyślałbym o podboju Moskwy, lecz o podboju całej północy”. Nowa wyprawa pod wodzą króla i świeżo mianowanego hetmana w. kor., kanclerza Zamoyskiego, skierowana pod Psków, dzięki wytrwałości i poświęceniu wodzów i żołnierzy, zmusiła wrogą do zawarcia korzystnego dla Polski pokoju w r. 1582. Polska dostata



przed Mickiewiczem, Jana Kochanowskiego, Klonowicza, złotostego Skargę, Górnickiego i znakomitego historyka i sekretarza królewskiego, Heidensteina.

Sam król i dwór przykładem wpływali dodatnio na wychowanie obywateli. Dwór dość liczny, wcale nie madziański, był wzorem prostoty, jak jego pan, który nie lubił „ani pompy, ani krotoczwil, a jedyną rozrywką w jego twardestwie, żołnierskim życiu było polowanie“.

Nie było panowanie Batorego w Polsce bynajmniej dla niego rajem. Sam skarżył się na „cierpkie życie“ i „ciężkie królowanie“, a po sprawie Zborowskich, rozgoryczony, nie wahał się nazwać panowania w Polsce „miserrimum purgatorium“ i „carnificina“, co

znaczy „najbardziej nieszczęsny czyszciec“ i „katownia“. Nie zaznał też ciepła rodzinnego, gdyż związek małżeński z Anną Jagiellonką, typową starą panną, o dziesięć lat starszą od męża, skojarzony z konieczności politycznej, nie mógł mu go dać.

Skoro mimo tylu trudności i przeciwności król cudzoziemiec nie był królem malowanym, to należy go podziwiać. Podziwiał go już Kochanowski, przepowiadając królowi, że go „z Bolesławem równo Polska klasz będzie“. I tak się stało. Potomność postawiła go na równi z Bolesławem Chrobrym pod względem dzielności, a najwyższą z jednostu ostatnich wolno-obieranych królów Polski.

## Sylwetki i profile.

### Guillaume Appolinaire.

(W pięćdziesiątą rocznicę urodzin)

Kraków, 7 września.

Dnia 26 sierpnia b. r. minęło lat pięćdziesiąt od dnia urodzenia się głośnego poety francuskiego Guillaume Appolinaire'a. Literatura wnotowała go do swojej historii jako jednego z przywódców rewolucji poetyckiej, którą przeżyła Francja w pierwszym dziesięciu w. XX. Dla nas rocznica ta posiada szczególne znaczenie, jako że Appolinaire był z pochodzenia Polakiem.

Prawdziwe nazwisko Appolinaire'a brzmiało Wilhelm Appolinary Kostrowicki. Te dwa imiona posłużyły poecie do urobienia nazwiska pisarskiego, podobnie, jak imiona Józef Konrad posłużyły Korzeniowskiemu do sformowania nazwiska Joseph Conrad. Ojciec Kostrowickiego, bliżej nieznan, matka była Polką.

Appolinaire chował się w wielkich środowiskach międzynarodowych od zarania swego życia. Urodzony w Rzymie, spędził lata młodości w Nicei i Monako, otoczony rojowiskiem ludzkim, pełnym próżności i snobizmu. Od wczesnej młodości pisze wiersze, redaguje pisma. Już wtedy przejawia się w tych pierwszych próbach pogarda dla snobizmu i małości oraz nonszalancja, zrozumiała u człowieka, który oddech atmosferą wielkich rojowisk ludzkich.

Z kolei spędza Appolinaire kilka lat w Niemczech, potem w Paryżu, gdzie czas jakiś na zlecenie wydawców preparuje mocno frywolne obrazki i szkice. Jego rewolucyjny zbiorek poezyj p. t. „Alcools“, wychodzi w r.

1913. Zrodzony jest w aurze Montparnasse'u, przesycony powietrzem bohemy.

W Appolinaire tkwi człowiek czynu i akcji. Ustawiczny niepokój gna go do coraz to nowych eksperymentów. Staje na czele ruchu poetyckiego, który przed r. 1910 występuje na widownie i głosi hasła nowej, „czystej“ poezji. W „Cafe de Lilas“ na Montparnasse mieści się ośrodek bojowników nowej literatury.

MARJAN CZUCHNOWSKI.

## O K L A S K.

Spiwają może grający w kości, grający  
w białe kostki prozy (czyja?),  
W czerpanych z snu podwórcach, palonych  
smutkiem i ohydą.  
W szary wielościan murów jasno: flety i ja,  
Świecący ton, idą.

Dym w polu wytapia chłodne zwoje  
grubego, błękitnego szkła.

FRANCISZEK SURÓWKA

## WIECZÓR LATA.

Smutnie słońce zagasa zmierzchem szarym  
lata,  
kiedy zbledną jagody czerwcowych uniesień,  
a tęsknota zwiędzona za zorze wylata  
i wraca przerażona, niosąc w dłoniach jesień.  
Spełniona warg twych słodycz upojna,  
lipcowa,  
poblady twoje jako jarząb pierwszej usta —

Umysł Appolinaire'a niezwykle chłonny, przejmując się każdym nowym pomysłem, nowym hasłem i przetwarza to w mózgu w rzeczy stojące niekiedy na granicy świadomego dziwactwa. Nie obce mu są wysiłki dadaistów i futurystów włoskich. Nie należąc rasowo do Francji, przynosi na jej teren zdobycze, które nie znajdują tam podatnego gruntu. Jest bowiem rzeczą znamionną, że Francja, pełna szacunku dla rozsądku, intelektu i jasności, nie wydała futuryzmu, ale kubizm, myślący w twardej, określonych kształtach. Appolinaire był po części najwzrostem odosobnionym we Francji, która odnosi się nieufnie do wszelkich poczynań a-intelektualnych (przypomnieć wypada ataki na książkę ks. Bremonda, broniącego emocjonalizmu romantycznego). Typowo francuskim poetą „dzisiaj“ jest n. p. matematyk formy, ścisły w myśleniu i obrazie — Paul Valery.

Appolinaire jest reakcją na smutki i melancholję poezji impresjonistów. Głosi — podobnie jak futurysty włoscy — kult energii i czynu. Entuzjazmuje się przejawami ruchu, siły. Cieszy go wojna, która pozwala człowiekowi dać upust jego zwierzęcej mocy. Sam spełnia obowiązek żołnierski w okopach i pisze na froncie wiersze, pełne siły i pochwały krwawego rzemiosła wojny. W wojnie widzi

(Z listów do J. A. Rimbaud).

Rozpala dzień do czerwoności słońca  
zmrużony blask kamienny.  
Zmarznięty promień w ciemność wpluśnął.  
W zapach kobiecej bluzki opadł  
jak oklask lub fałszywa łza.  
Ogród rozpocznie, kołysząc, swój czarujący  
bal jesienny.

## Zmodernizowane przysłowia i aforyzmy.

Prędzej słoń dostanie suchot, aniżeli kobieta pogodzą się z zeszlizocznym fasonem kapelusza.

Podobno cech bednarzy otrzymał duże zamówienie na fabrykację „piętych klepek“, których brak tak kompromituje niektórych naszych elokwentnych posłów.

ucieleśnienie niesamowitego piękna. Zachwyca go głęboki głos dział, świst granatów, płomienne biegi rakiet na niebie. Ranny na wojnie, lecz się w szpitalu i pada ofiarą fali grypy dn. 11 listopada 1918 r.

Od ekscentryzmu formy i porównań przechodzi wolno Appolinaire do zwartej i męsko opowanej formy. Jego wiersze wojenne są pełne siły i ład. Technie z nich patos człowieka, który patrzy się na rzeczy nie z punktu widzenia swego osobistego bólu czy miłości, ale stoi niejako ponad nimi. W tych utworach Appolinaire'a dokonuje się wywołanie od przerafinowanego egzotyzymu impresjonistów i zwycięskie przejście w epos, w szerszy, obiektywizm poetycki ponad kregiem własnych doznań.

Spokojem i męską siłą technie ostatni wiersz poety, napisany tuż przed śmiercią w szpitalu. Zwraca się w nim do swoich krytyków:

Niechaj sąd wasz surowy czoła nam nie palił  
Inną drogą kroczyliśmy — my, niedoskonali  
Pocisk wiatru szumiący nad nami przelata,  
Bośmy grzeszni tęsknotą do nowego świata,  
Gdzie są kwiaty tajemnic, nie zrywane ręką,  
Nowe barwy, melodią kołysane miękka,  
Gdzie tysiąc nieuchwytnych kształtów i snów  
gości,  
Do istnienia tęskniących z nierzeczywistości.  
(Przekład polski Jana Pietrzyckiego).

Appolinaire przypomina swojemi kolejami życia i napięciem swoich wierszy poniekąd Artura Rimbauda. Jego eksplozywny temperament zdradza pochodzenia obce, niefrancuskie. Podobnie jak Rimbaud, torował sobie Appolinaire drogę samotnie, szukał własnych możliwości wypowiedzenia i zmarł przedwcześnie.

z. gr.

ANTONI MARCZYŃSKI.

## „L'île de Beauté“.

— Czeka cię miła niespodzianka, — rzekła mi żona, powróciwszy z Nicei z plikiem „Kurjerów“. — Wzdrygnąłem się mimo 35° w cieniu, choć w cieniu nie leżałem bynajmniej. Przeczulem, że chodzi znowu o jakąś wycieczkę, gdyż moja małżonka nie może trzech dni usiedzieć na jednym miejscu. — Marsylja? Grenoble? Medjolan? — spytałem z rezygnacją; bo strasznie mi tu dobrze pod Juan les Pins i nie rad się stąd ruszam.

— Korsyka! Wyjeżdżamy tam pojutrze — wyjaśniła przyjaciółka mej lepszej połowy, a ostatni członek tej „hultajskiej trójki“, zmu-



Dom w Ajaccio na Korsyce (strzałka wskazuje), w którym urodził się Napoleon I.

szającej podpisanego do częstych peregrinacji w te upały, nadmieniam, że stoję (ściśle biorąc nie stałem, lecz leżałem wtedy na plaży) wobec faktów dokonanych, gdyż kabiny na statku już zarezzerwowali. — Cała historia będzie kosztowała netto po 600, a najwyższe po tysiąc franków na twarz — dodał.

— Et tu „brutto“ contra me? — zadeklarowałem z patosem.

— To bardzo tanio — odparł.

— To zupełnie zadarmo — zawyrokowały obie niewiasty, wobec czego sprawa była merytorycznie załatwiona.

— Ale wieczorem, kiedy panie spać poszły, mój towarzysz zagadnął mnie półzartem, czy istotnie na Korsyce panują stosunki meksykańskie.

— Tum go czekał.

— Czyż sama nazwa nie mówi ci, iż mieszkańcy tej wyspy żyją z korsarstwa? A wiesz, co to vendetta? Nie wiesz? No, to spytaj kogo innego; ja mam ważniejsze sprawy na głowie.

Rzekłszy to, wzięłem arkusz papieru i ogromnymi głoskami wymalowałem taki nagłówek: „MOJA OSTATNIA WOLA“... a pod spodem pisałem, wzdychając żałośnie i dyktując sobie półgłosem:

„Zdrów tak na umyśle, jak ciele, do browolnie i bez niczyjego przymusu, stojąc w przededniu niebezpiecznej wyprawy w kraj rozbójników, rozporządzam mym mocno ruchomym majątkiem na na wypadek śmierci, w sposób następujący“... itd.

Z szatańską radością zauważyłem, że chłop zbladł aż do kolan i, podszedłszy do walizki, jął opatrywać swój rewolwer, mocno zardzewiał po pewnej przymusowej kąpieli w ubraniu. Nosił potem ten przedpotopowy instrument w ciągu całej wycieczki, o czym świadczyła prawa nogawka spodni, stale o 2 cale dłuższa, niż lewa.

To była moja vendetta za pogwałcenie męskiej solidarności...

Wypląniliśmy z Nicei przy ślicznej pogodzie, obserwując z tylnego pokładu „Lazurowe Wybrzeże“, lecz niebawem nasz „Cyrnos“ rozpoczął płasy.

— To „Minstral“, — wyjaśnił steward, i, choć nieproszony, rzucił garść aktualnych rad i wskazówek: cytryna, koniak, spoczywać na leżaku, stojącym równolegle do dłuższej osi okrętu itd., itd.

Parsknąłem śmiechem Mefista (made in „Faust“ by Gounod). Ja? Ja, który z ponurym Atlantykiem jestem „na ty“, ja miałbym tego ten? Tu, na tym stawku, barwy farbki do prania? Ha, ha, ha, ha!... Moi najbliżsi także pokiwali wesoło z chwiejby statku, aliści kiedy na pokładach rozpoczęła się bieżanina pierwszych „błędnych twarzą“, nasze panie zniknęły gdzieś po angielsku. Mój towarzysz trzymał się w formie jeszcze przez kwadrans, poczem odszedł spiesznie „zobaczyć, co tam słychać na dole“. A „na dole“ rozbrzmiewały nieartykułowane jakieś potępieńców, składających hojną hekatombę ku czi signora „Minstrala“.

Przed piątą popołudniu wychylny z morza wyniosłe kontury Korsyki, a długi jej północny półwysp zasłonił nas przed wiatrem. Ustała kołysanka okrętu i z jego czełści wypełzły na pokład „białe cienie“, niektóre wręcz zielone, szare, ziemiste, ale już „ważne“, pewne siebie na widok skrawka ładu, ciśniętego w lazurowe morze przez poważniejszych bohaterów.

Leszcze przed zachodem słońca zawinął „Cyrnos“ do przystani w Ile Rousse, zasłoniętej czterema skalistymi wysepkami, z któ-

rych największa dźwiga na wysokim, łysym grzbiecie starą wieżę, a na szczycie latarnię morską... Takich wież jest na Korsyce mnóstwo. Niewiele z nich pamięta złote, rzymskie czasy, gdy wyspa liczyła milion mieszkańców (dzisiaj 280.000), równie nieliczne ruiny pozostały po Saracenach, zato długotrwałe wojny Pizy z Geną i okres podboju francuskiego (XVIII w.), pozaczyły Korsykę śladami, niezatarłymi do dzisiaj. Wogóle dzieje wyspy były niezmiernie krwawe, poczynając od walk starożytnej Romy z Kartaginą, a kończąc na tłumieniu powstań przeciwko dzisiejszym jej władcom. I dziwnym zbiegiem okoliczności w tym samym dniu, w którym Francuzi ogłosili aneksję Korsyki (dnia 15 sierpnia 1769), urodził się w Ajaccio Napoleon Bonaparte. (Co prawda, to dopiero w pięć lat później „nakloniono“ wojowniczych Korsykan do uznania panowania francuskiego i potem również nie obeszło się bez zamieszek i nawet Anglicy przelotnie gospodarzyli na wyspie).



Na wąskiej drodze górskiej na Korsyce zdefektowane auto zatrzymuje wszelkie pojazdy między przepaściami.

Ile Rousse zbudował Pascal Paoli w r. 1758 na złość miasteczku Calvi, którego mieszkańcy stawali bohaterami opór wszelkim najeźdźcom. Dzisiaj Ile Rousse jest małą dziurą, liczącą 1.800 brudnych obywateli i posiadającą wśród nielicznych osobliwości zajazd o szumnej, a mocno niezastużonej nazwie „Hotel d'Europe“. Jedno tam było możliwe w tym „hotelu“, mianowicie szampan. Butelka 25 fr. czyli 9 złotych, czyli salona okazja dla polskiego inteligenta, by się wstawić nie „czystą“ ani „wyborową“, ale naprawdę szampanem, wcale nie gorszym od naszych krajowych szampitrow.

Nic tedy dziwnego, że poszliśmy spać późno i w różowych humorach. Nawet niemo-

perz, który przez pomyłkę wpadł do pokoju, niezbyt nas przestraszył, ale godzina potwornej grozy miała wybić niebawem... Zbudził nas huk wystrzału! Jeszcze nie przebrzmiało echo rozgłosnej detonacji, gdy jakaś słodkawa ciecz bluznęła mi na twarz. Krew! W to nie wątpię, nie wiedziałem tylko, czy moja własna, czy jego. — Jego, — pomyślałem z niejaką ulgą, bowiem w tym momencie mój towarzysz jęknął i zacharzał przeraźliwie, siląc się najwidoczniej, by słowem nadać ton bardzo groźny:

— Puść, zbój, albo i ja strzelę!

Teraz skamieniałem do reszty; wystrzał z jego rewolweru był stokroć większym niebezpieczeństwem, niż napad niewidzialnych w ciemnościach rozbójników.

— Bierz go żywcem, Romek — wyjąkałem prosząco i, odnalazłszy wreszcie kontakt lampy, przekreśliłem go rozdygotaną dłonią... Spojrzałem. Przetarłem oczy, raz jeszcze spojrzełem i ryknąłem... salwą śmiechu... Mój towarzysz walczył bohatersko z owijającą go siatką moskiterji, na stoliku chichotała słodka pianą otwarta butla lemonjady, autorka tak złośliwej eksplozji, a ku ścianie pomykał żwawo spłoszony światłem śliczny, wysportowany, korsykański... karaluch! Na skutek tego ostatniego odkrycia nie gasiłszy już światła, że zaś echa naszej batalji obudziły nasze panie, którym rzecz należało w nieco innym świetle przedstawić, zasnęliśmy nad ranem i ta noc należała do najgorszych na Ile de Beauté...

Przekonałem się nazajutrz, że Korsyka zasługuje w zupełności na nazwę „Wyspy Piękności“. Za wyjątkiem małych skrawków wybrzeża, nizinnych i malarycznych, cała wyspa jest wybitnie górzysta, a najwyższy jej szczyt Monte Cinto ma 2.815 m. wysokości. Nasze Tatry są mniej więcej tak samo „duże“, jak góry Korsyki, lecz na Tatry spoglądamy najczęściej z okolicy Zakopanego które dwa wznosi się nad poziom morza na ca 840 m Tu zaś granitowe olbrzymy wstawają niemal wprost z morza na 2.000 m i dalego czynią wrażenie gór znacznie wyższych.

Karkołomna droga z Ile Rousse do Piang (ca 96 klm.) wije się w niezliczonych zakrętach, opadając do morza i naprzemian wznosząc się do wysokości ponad jego poziom. Nie przesadzę chyba, jeśli powiem, że nie mieliśmy dwustu-metrowego odcinka szosy bez choćby jednej serpentyny. I jakie serpentyny. Nasza „osemki“ przed „Morskiem Okiem“ wyglądają przy nich niewinnie, a w dodatku na korsykańskiej drodze dwa wehikuły nie mogą się zmieścić obok siebie; jadący pod górę ma pierwszeństwo, jego vis a vis zjeżdża dwoma kołami do rowu, staje i czeka pokornie, To też kiedy auto jadące przed na-



# Marja Lani, kobieta o 50 twarzach.

Sztuka a rzeczywistość.



Marja Lani według portretu J. Marval.



Marja Lani, artystka filmowa, w soczewce aparatu fotograficznego.



Marja Lani według portretu chińskiego malarza Man Ray.



Marja Lani według portretu japońskiego malarza Fudżity.

Kraków, 7 września.

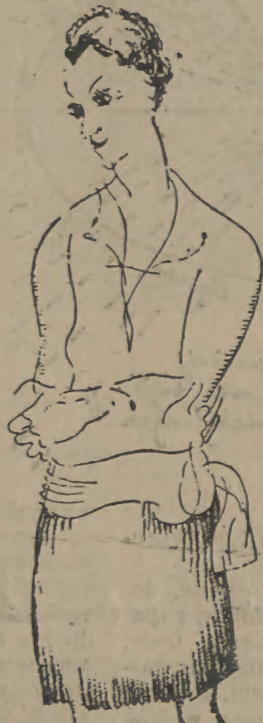
Zmarłego niedawno artystę filmowego Lon Chaneya nazywano powszechnie „człowiekiem o tysiącu twarzach“. Te twarze były to maski, które genialny artysta umiał przydziewać na twarz z pomocą charakterystacji. Po-



Marja Lani według portretu Pawła Poltre'a.



Marja Lani według obrazu futurysty Papazowa.



Marja Lani według akwaforty Labourera.



Marja Lani według rzeźby Laurens'a.



Marja Lani według rysunku Jana Cocteau.

siadł on kunszt przeistaczania się w niezwyklej sposób.

Artystka filmowa, Marja Lani nie zmienia się z własnej woli — zmieniają ją tylko artyści, którzy malują jej portrety.

Pięćdziesięciu najsłynniejszych dzisiaj malarzy, rzeźbiarzy i grafików, robiło konterfekt Marji Lani i za każdym razem ukazali światu inne oblicze tej ciekawej artystki. Bo każdy z nich widzi ją inaczej, a równocześnie każdy jest jednak pod urokiem silnej indywidualności kobiecej, bijącej z twarzy artystki.

W galerji Leicester w Londynie otwarto wystawę portretów Marji Lani pędzla Bonnarda, Deraina, Lurcata, Ottona Frieza, dalej słynnego Japończyka Fudżity, Holendra Van Dongena, poety-malarza Jana Cocteau, Chińczyka Man Raya... Nieskończenie długą jest lista tych wszystkich artystów, których zachwycała głębia jej ciemnych oczu, czoło Pallas Ateny i pełne wyrazu usta.

Historja kobiety malowanej przez pięćdziesięciu artystów ma zostać przerobiona na scenariusz filmowy, w którym główną rolę zagra sam model. Wtedy dopiero wszyscy zobaczą prawdziwe oblicze Marji Lani....

mi spotkał jakiś „vis-pulkownik“, nasz potężny autocar P. L. M. musiał się zatrzymać, za nim inne wozy i uzyskaliśmy nader pożądaną, przymusowy przystanek. Scenę tę uwiecznił oczywiście mój kodak i tuzin kodaków innych pasażerów.

Czego się wogóle nie fotografuje na tych wycieczkach. Olbrzymi jastrząb krąży nad malowniczą kotlinką... pstrykl jastrzębia z kotlinką. Niesie baba potężny kosz na głowie bez pomocy rąk... lul babę z koszem, jadą dwie dziewczęta na maleńkim osiołku... cykl je z osłem — i tak niezmiernie rolna za rolęką, bo nigdy człek nie wie, czy podobną scenę znowu „chwyci“. Och, smętna dolo fotografa-amatora!

W Calvi był trzygodzinny przystanek. Malutka miścina, niczego sobie dzięki malownicemu położeniu, tego nie wolno przemil-

wyznające się w wyspę dziesiątkiem płytych zatok, po lewej olbrzymie, granitowe bryły pagórków, dzikich, urwistych, przeważnie bezdrzewnych, za nimi potężna barjera gór, otulonych płaszczem bujnych lasów zda się aż po szczyty, oszronione siwizną wieczystego śniegu, a wąż-droga pnie się na wierchy, spada w zaciszne kotliny, pełne winnic, kasztanów, drzew migdałowych, przecina gaje pomarańczowe, cytrynowe, oliwne, gramoli się cierpliwie na inny grzbiet wyniosły, by nagle pokazać turyście nową, przepiękną panoramę, jakiś półwysp z ruinami, jak w Porto, lub laguny, bajeczna plaż z uganiającymi po niej grzywaczami, (zdziwił mnie daleki zasięg fal w tych miejscach), lub wreszcie wąwóz szkarłatnych skał, jak słynne „Les Calanches“ tuż przed Pianą.

O geologii mam takie pojęcie, jak o astro-

niejsze. Nakoniec powiem więc coś niecoś o mieszkańcach „Wyspy Piękności“...

Piękni nie są, ci Korsykanie i mydła niewątpliwie jeszcze mniej używają, niż obywatele miasta Dubna (vide pamiętniki Z. Nowakowskiego), ale zato chłopy z wiary. Gościnnie, uczciwi, szczodrzy choć biedni, gotowi życie oddać w obronie nietylko przyjaciela, ale nawet obcego, któremu użyczyli gościny, dla wrogów nieublagani aż do okrucieństwa, wyrobili swej ojczyźnie opinię, która streszcza się doskonale w powiedzeniu: „terra degli odii tenaci e dei ferdidi amori“.

Z pochodzenia, języka, zwyczajów i temperamentu są stokróż bliżsi Włochów, niż Francuzów, ale obywatelami są bardzo lojalnymi. Wzdłuż gościńców roi się od kapliczek-grobownic Korsykan, poległych w czasie Wielkiej Wojny, w obronie Francji. W miasteczkach, na zbiorowych pomnikach wyryto nazwiska mieszkańców, którzy zginęli w latach 1914—18; z uporem szukałem choćby jednego nazwiska francuskiego, lecz ani na lekarstwo! Same włoskie! A choćby Bonaparte czy Bonaparte, czy to brzmi z francuska? A nazwy miejscowości, niektóre pisane już po francusku, (jak „les Calanches“), lecz wymawiane nieodmiennie z włoską? A wreszcie i ta okoliczność, że z Italji jest do brzegów Korsyki tylko 85 klm. z włoskiej Sardynji 12 klm. (cieśnina Bonifacio), podczas gdy najbliższy punkt Francji jest oddalony o bite 170 klm.. Notuję te luźne uwagi dlatego tylko, że niektórych ludzi dziwiły pewne aluzje w silnych przemówieniach twórcy mocarstwowej potęgi Italji.

Trudnią się Korsykanie rolnictwem, uprawą wina, hodowlą bydła, (coprawda, ja głównie kozy widziałem), łapią sardynki, jak wnoszę z bliskości Sardynji, oraz inne ryby, a dla rozrywki uprawiają szmugiel tytoniu. Z tej zapewne przyczyny wszelkie, nawet amerykańskie papierosy, (n. p. popularne „Camel“e) kosztują na Korsyce o połowę taniej, niż na pobliskiej Rivierze, gdzie po powrocie z wyspy trzeba przejść sroga rewizję walizek.

Aby zobaczyć prawdziwych Korsykan, trzeba powędrować w głąb wyspy, do białego Cauro, do Bastelica, do Bocognano, gdzie ci opowiedzą romantyczną i prawdziwą historję o zbójach Bellacoscia recte Bonelli, wreszcie do Corte (5.200 mieszkańców), malowniczego miasteczka, które było stale ogniskiem wszelkich, przelicznych „uchawek“; na wybrzeżach ich nie „uwidzisz“, a tylko mieszaiców i nabywowych wagabundów.

Krwawa zemsta, osłowiona „vendetta“, często praktykowana w okresie walk stronników Pizy ze zwolennikami Genui kiedy to poszkodowany musiał sam sobie wymierzać sprawiedliwość i zmykać w góry, należy dziś do

przeszłości. Z innych ciekawych zwyczajów, przechował się pogrzeb korsykański, jaki widziałem w Ajaccio, a który przypominał mi trochę pogrzeby arabskie. Bo i zawodowe płaczkę tu są i kobiety na znak żałoby nie mogą opuścić mieszkania przez szereg dni i w pogrzebie biorą udział sami mężczyźni, nawiasem mówiąc, w kapeluszach na głowie, prócz najbliższej rodziny. Również oryginalne są uroczystości weselne.

— A bandyci? — spytasz miły Czytelniku. Owszem, są! Ocho! Jednego mogę nawet wskazać do obejrzenia. Jest nim płatniczy wespianiałym „Grand-Hotel des Roches-Rouges“ w Pianą. Chciał mi szelma doliczyć do rachunku baterję butelek wina, którego nawet z marki nie znam. Ale naogół jest tego rodzaju bandytów znacznie mniej, niż na francuskiej Rivierze, gdzie nie oszukują i nie kradną tylko turyści. Zresztą wszyscy, o czym jednak osobno kiedyś napiszę.

W ostatnim dniu naszej „wyprawy w kraj



Charakterystyczny motyw skalistego wybrzeża Korsyki.



Słynna „głowa psa“, uformowana przez naturę z granitowej skały w grupie „Les Calanches“ koło Piany na Korsyce.

czuć, końcowa stacja kolei żelaznej. Warto na własne oczy zobaczyć ten pocieszny samowarek, te wagoniki o 3-ch przedziałach, że nie powiem: przegródkach... W Calvi pokazano nam dom, w którym miał się urodzić odkrywca Ameryki, Kolumb. Powiadają: miał, bo ja nie mam pewności czy tak było, choć calwiński (nie „kalwiński“) przewodnik zaklinał się na swego muła, że nie kłamie i w zapale omal nie rzekł, iż z ojcem ś. p. Krzysztofa w kicz „grywał“ wyczytałem mu to z oczu, że talchiał powiedzieć. Ale zreflektował się zacytował Kolumb urodził się w roku, jak wiadomo... ehem, w roku... no, w każdym razie w XV stuleciu.

Za Calvi teren górzysty, co się zowie, Po-

nomji, to znaczy mętne, to też nie wiem, jakie licho wyrzeźbiło tak cudownie te twarde, granitowe skały, te grotty, ten kapitalny „profil Poincare'go“, tego „biskupa z pastorałem“, słynną „psią głowę“ i inne arcydzieła figlarniej przyrody, rozmiarów godnych takiego rzeźbiarza. Słońce kładło właśnie gorejącą głowę na szafirową pościel morza, kiedy nasz autocar dotarł do „Les Calanches“ i purpurowe promienie rozplamiły te skały, już jak czerwone naturalną swą barwą, darząc nas widokiem naprawdę niezapomnianym.

Ciasne ramy feljetonu są dla podpisanego, czem są ciasne lakierki w upał dla szli-ibruka z dziedzicznymi nagniotkami; gniołażnośnie, cisną, pieką, ale trzeba się z nimi pogodzić. Słowem, muszę się streszczać, inaczey Redakcja wyzuci mi to, co najw-



TADEUSZ ADAMSKI (Warszawa).

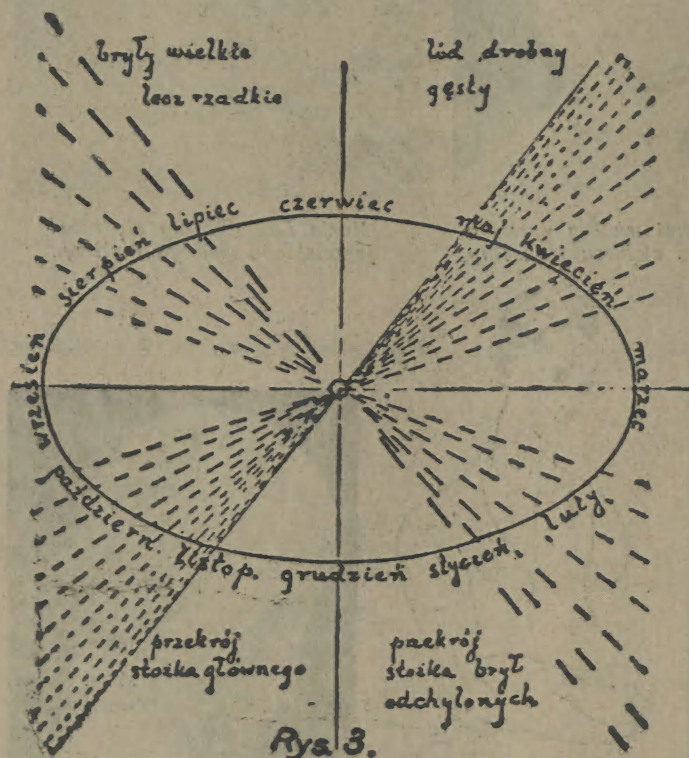
# Czy długo jeszcze będziemy niewolnikami pogody?

## Meteorologia współczesna. — Przypadkowość zjawisk atmosferycznych. Teoria lodu kosmicznego. — Dwie kategorie zjawisk atmosferycznych. Okresowość ich, a teoria Hörbigera.

Kraków, 7 września.

Meteorologia współczesna stała się ważną wiedzą pomocniczą dla całego życia gospodarczego. Dobrobyt krajów rolniczych, a więc i naszego kraju, zależy przede wszystkim od pogody. Ale i kraje przemysłowe niemniej liczą się z nią. Burze, cyklony, śniegi, swym potężnym wpływem na komunikację

astronomii, potwierdzająca się jednak coraz więcej. Cały układ słoneczny, jak to astronomja stwierdziła, porusza się w przestrzeni



Rys. 3.

Jak wynika z obliczeń, przestrzeń, przez którą przebiegają owe lodowe meteory, ma kształt spłaszczonego, pustego stożka, którego wierzchołkiem jest słońce.

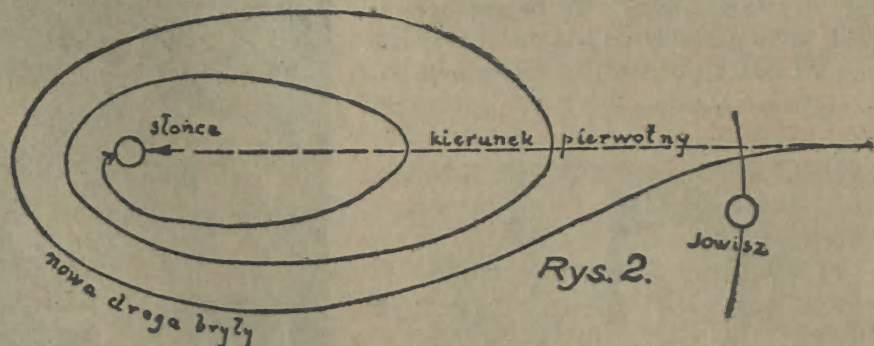
Niektóre bryły jednak, przebiegając obok większych planet, zostają odchyłone od swego pierwotnego kierunku biegu. Wtedy zakreślają wokół słońca linię spiralną, zbliżając się coraz bardziej, by wreszcie spaść na stronę przeciwną słońca. Te odchyłone bryły tworzą drugi stożek podobny, po stronie przeciwnej słońca.

Ale na tem nie koniec historii takiego meteora. Jeżeli bryła jest dość duża, nie ulegnie w pobliżu słońca stopieniu. Bryła lodu może się nawet dostać do wnętrza słońca, otoczona warstwą pary, która chroni ją przed stopieniem. Fizyka nazywa to zjawiskiem Leidenfrost: kropla wody, puszczone na bardzo gorącą blachę, utrzymuje się na niej długi czas, dzięki otaczającej ją warstwie pary, że przewodzącej ciepło. Lód topi się wolno, zarazem jednak otacza się warstwą skrzepłej magmy słońca. Tworzy się balon, wypełniony parą o wysokim ciśnieniu, przegrzewającą się coraz bardziej. W pewnym momencie wzrastające ciśnienie rozsada ten kocioł. Para wodna

atmosferyczne na ziemi podzielić na dwie kategorie. Te, których przyczyną są ruchy powietrza, zmiany temperatury, których źródło leży więc w naszej atmosferze i powierzchni ziemi, i te, których źródło leży poza ziemią. Pierwsze dadzą się z pewnym przybliżeniem przewidzieć, drugie, znacznie gwałtowniejsze, zależą oczywiście od przypadku.

Jakiż los spotyka bryły lodu, dochodzące do naszej planety? Dostawszy się do atmosfery, bryła taka zostaje gwałtownie zahamowana, rozgrzewa się przytem jak meteor, pęka na kilka mniejszych brył, te wreszcie rozpylają się na całe chmury gradowe. Obserwowano n. p. równocześnie kilka burz gradowych, które, jak wynikało z obliczeń, spowodowało uderzenie i rozpylenie się jednego tylko meteora lodowego, w odległości ok. 1000 km od powierzchni ziemi. Rzecz prosta, że gwałtowne uderzenie w atmosferę, powoduje falę wichru, huragan, który niszczy płony, przewraca drzewa, powoduje raptowną zmianę ciśnienia i temperatury oraz nowe zjawiska wtórne. Niezawsze musi temu towarzyszyć grad. W gorącej atmosferze klimatu kontynentalnego, grad nie dochodzi do ziemi. Pozostaje jednak huragan, tajfun, deszcz.

Można przewidzieć pewne okresy, w których ziemia jest szczególnie narażona na meteory lodowe, czy też grady, pochodzące od



Rys. 2.

ładową, morską, radiową, lotniczą, zmusiły te kraje do rozbudowy sieci stacji meteorologicznych.

Istnieją jednak jeszcze inne, subtelniejsze wpływy pogody: na samego człowieka. Upały, jakie niedawno nawiedziły Amerykę, są może najjaskrawszym tego przykładem, gdyż niejedno życie ludzkie kosztowały. A przecież nawet zwykły długotrwały deszcz jesienny, wywołuje ospałość i ociężałość. Głnie nie tylko mienie, ale i energia ludzka.

Pierwotne prymitywne sposoby przepowiadania pogody, (śmiesznym wręcz jest „stuletni kalendarz“) ustąpić musiały ścisłym, naukowym dociekanom. Cóż, kiedy meteorologia może przewidzieć przebieg pogody na dzień, w pewnych warunkach na tydzień naprzód, ale powiedzieć n. p. czy będzie ostra zima, czy suche lato, czy będą deszcze w czasie żniw, nigdy nie mogła. A już grady, burze, tajfun zjawiają się nagle, niekiedy bezpośrednio po pięknej pogodzie. Jak zapatrywać się na taką bezradność nauki?

Dziwna przypadkowość zjawisk, której żadne zmiany w pobliżu powierzchni ziemi nie mogły wytłomaczyć, doprowadziła wiedeńskiego inżyniera Hörbigera, do t. zw. teorii lodu kosmicznego. Teoria ta, opierająca się na spostrzeżeniach nie tylko z meteorologii, ale i astronomii, i geologii, i nawet antropologii, w genialny sposób wiąże tysiące zjawisk dotychczas niewytłomaczonych.

Nasz układ słoneczny otoczony jest potężnym pierścieniem brył lodowych, daleko poza obszarem przyciągania słońca. Jest to nowa hipoteza Hörbigera, wprowadzona do

w kierunku punktu zw. *anex*, w kierunku gwiazdozbioru *Herkulesa*. W biegu tym, wskutek oporu istniejącego w wszechświecie, bryły lodu z pierścienia zostają oderwane, dochodzą do granicy przyciągania słońca, i spadają bądź na planety, bądź na słońce. Opór, jaki istnieje w przestrzeni międzyplanetarnej, powoduje sortowanie tych brył. Bryły o większej masie lecą prawie prosto w kierunku słońca, mniejsze odchylają się znacznie.

### Kącik językowy.

Zara, tera; kaźden; procent, wziąć; można = wolno; życie = utrzymanie; oryginalny-ino.

Kraków, 7 września.

Nie tyle porządkiem ubraniem i dobrymi manierami, ile wprawdą i prawidłowym władaniem językiem ojczystym można pozyskać sobie w gronie kulturalnym zaufanie oraz poszanowanie. Przynajmniej przed wszystkim o poprawności swej mowy, unikając wkrócenie językowych, które popielniamy prawie na każdym kroku. Wymienię tutaj najbardziej pospolite, rażące ucho, błędy językowe.

Słyszymy więc nieraz nawet w mieście nieślusnie skrócone i dlatego źle brzmiące wyrazy *zara, tera* zamiast prawidłowych *zaraz, teraz* (za raz, ten raz), *pozaatem kaźden* (nazwórz: pewien, jeden, ten) zamiast *każdy*.

Również mówi się potocznie i pisze się w książkach i dziennikach *5, 10, 15 procent*

wytryskuje potężnym strumieniem, i tworzy na słońcu zjawiska znane pod nazwą *korony, pochodni*, z rozpylonych części masy słonecznej tworzą się *plamy słoneczne*. Wszelkie te zjawiska teoria Hörbigera szczegółowo i dobrze tłumaczy. Część pary wodnej, rozpylona w wszechświat, krzepnie na lód, naładowany elektrycznie, który dochodzić może nawet do ziemi, powodując grady i burze.

Z tego punktu widzenia, można zjawiska

(łac. pro centum — na sto), gdyż prawidłowym jest brzmienie *procentów*, ponieważ rzeczownik ten odmienia się według dekl. I męskiej na twardą spółgłoskę, podobno, jak *student, agent, dom, las, most* itp. Dalej, mówi się powszechnie *wziąć* (na wzór *usiąć*), gdyż prawidłowym jest *wziąć*, pierwiastkiem bowiem tego czasownika jest *ją* z oboczkiem *ję* (wzięcie, objęcie, zajęcie, rękojęcie itd.).

Następnie w *Królestwie* i na *Kresach Wsch.*, pod wpływem *jęz. rosyjskiego*, używa się między innymi wyrazu *można* w znaczeniu *wolno*, np. w pytaniu: „Czy można przejść do innego pokoju?“ Najłatwiej ten błąd zrozumiemy ze zdania: „Deptać trawnik w parku można (tj. możliwość), lecz nie wolno“.

Na ziemiach wschodnich czasem się mówi: „Mieszkanie z życiem (?) kosztuje tyle a tyle“, gdzie pod wyrazem „życie“ trzeba rozumieć utrzymanie czyli *wikt*. Tamże również słyszymy wyrazy *oryginalny, oryginalno*, gdy trzeba mówić *oryginalny, oryginalno* (łac. *originalis* — początkowy, pierwotny).

S. M.

WITOLD ZECHENTER.

# DRUKARZ.

Jasne, o wielkich szybach okna hali linotypowej zachodziły mgłą wieczoru.

O ramy ich odbijał się wzmożony ruch ulicy. Wieczorne życie pławiło się w silnych światłach wielkich lamp lukowych i różnobarwnych sykach monottonnych reklam świetlnych.

Do jasnej hali linotypów drukarni wielkiego dziennika „Echo Poranne“, w której dawał się słyszeć tylko płaskotliwy szmer głuchych uderzeń klawiszy, zawieźły halas chylącej łapy żelaznej i paciorkowy pacierz spadających w swe dawne przegródki liter, wdzierał się już co chwile zgrzytliwy huk kalandra, co znaczyło, że praca ma się ku końcowi.

Stary Florjan siedział beczynnie przy swym linotypie.

Mógł już iść do swego pokoju. Mieszkał na parterze pod drukarnią, obdarzony zaufaniem i sympatją wszystkich. Po pracy skończonej zamykał drukarnię, by wczesnym rano być już w niej od siódmej i patrzeć, jak szrotki, miotły i szmaty uwijają się po terenie jego czterdziestoletniej pracy.

Mógł iść do swego pokoju i wrócić dopiero, gdy go z oficy doleci głuchy huk maszyny rotacyjnej, walącej strony pięknie złożonych egzemplarzy z nieustępliwą punktualnością w obliczu niemej, zakurzonej, zazdrośnej maszyny płaskiej, używanej rzadko, tyl-

ko do odbijania afiszów dużego formatu. Wtedy dopiero winien, pożegnawszy kolegów, zamknąć drukarnię.

Ale on nie szedł dziś do siebie.

Czuł się bardzo zmęczony i bardzo słaby. Napadła go ta słabość nagle, po południu, w wirze największej pracy, gdy trzeba było w nią urealnicać zygaki panów redaktorów, drzące jeszcze mokrym atramentem na białych paskach przydzielonych mu przez metrapaży.

Pracował tu lat czterdzieści.

Jako piętnastoletni chłopak ujrzał po raz pierwszy tę drukarnię. Inaczej wtedy wyglądała. Nie było linotypów, nie było kalandrów, nie słychać było zgrzytu i warkotu maszyny rotacyjnej. Nie było nawet tych drobnych, spokojnych, odbijarek dźwigniowych, tych ruchomych szufli, niosących ciężkie kolumny ze stołu metrapaży. ani tych telefonów, sygnałów dzwonków. Była to ciemna sala, zastawiona kasztami. Było cicho. W skupieniu rosły linijki. Każdą literkę pieściła chybka, nieomylna ręka. Na boku drzemały szrotki do odbijania, szufle rozmaitych wymiarów, sznurki. Zaczął od posług.

- Florek! większa szufelka!
- Florek! rzuć sznurek!
- Florek! gąbka!
- Z jakąś dumą usłyszał raz:
- Florek! szybko kilka cienkich trzykwateratowych!
- Wiedzą już — pomyślał — że się orjentuję!
- I orjentował się istotnie nad wyraz szybko. Wkrótce potem dano mu do składania ty-

tuły, potem pomagał składaczowi ogłoszeń, potem przeprowadzał korekty poprawionych szpalt i rewizje kolumn.

Był inteligentny i pracowity, toteż wnet stanął przy kaszcie. Stał przy niej lat dwadzieścia pięć.

Gdy przyszły maszyny, sam się zgłosił do nich i znów szybko wprawił się w to zdolne granie monottonnych melodyj na białych kwadracikach liter.

Miał wtedy lat czterdzieści. Pracował wprost niebywale, a że składanie na linotypie szło mu prędzej, niż ręczne, składał nie bezmyślnie, lecz dobrze wiedząc, co składa. Jego układ był zawsze nieskazitelny.

Tak się złożyło, że w rok potem zasiadł przy linotypie petitowym. Petitum szła w „Echo Porannem“ kronika i nekrologi. Florjan składał więc kronikę i nekrologi.

Był to najsmutniejszy dział w dzienniku. Wszystkie nędze, zbrodnie, zgony — wszystkie łyzy, żale i krew. Wszystkie stracenia, wszystkie morderstwa, wszystkie krzywdy.

Padły małe literki petitowe do ołowianej kąpieli i w lśniących, gorących linijkach ustawiały imiona, nazwiska, daty, nazwy miejscowości...

A Florjan uważał. Pamiętał. Te najstraszniejsze i najsmutniejsze rzeczy wżerały mu się głęboko w pamięć. I pracował przy swym petitowym linotypie aż do dnia tego, gdy nagle zachorował. Z jego dumań wyrwał go nagle głos idący z głębi i zdaleka — maszyna rotacyjna szła. Koledzy żegnali go serdecznie. Sciskali jego

gorącą rękę czystymi dłońmi, chłodnymi jeszcze od benzyny i zimnej wody z kranów umywalni.

Został sam — jak codzień od tyłu lat.

Wstał. Powoli, automatycznie zamykał boczne drzwi od wewnątrz. Głucho dzwięczały klucze.

Gasił światła.

Powoli — powoli usypiała drukarnia... Czuł się bardzo źle. Serce biło mu nierówno i niespokojnie. Ach, to serce! Nigdy niewiadomo, kiedy się odezwie i zacznie łomotać złą przestroją.

Już ciemność zalała halę. Światła z ulicy prosiły się przez szerokie okna. Kładły się długie, tajemnicze cienie...

Żelaznym rzędem stały maszyny. Jednaki... jednaki... jednaki... Lekko zgięte zastygły ramiona stalowe... Palce białe w drąg poziomy... Ołów zastygł... Litery śpią...

Tam — skulony, niski, zębisty kalander... Tam — cihe, drewniane kaszty podługocne... W kącie z wyciągniętą dźwignią odbijarka... Srebrnie błyszczą dzwonek nad telefonem... Cisza...

Daleki szum ulicy — daleki szmer maszyny rotacyjnej. Wsiakające w serce dźwięczne uderzenia zegara. Raz... dwa... trzy... Dziesiąta...

Podszedł do drzwi. Oparł się na kłamec. Serce szumiało w nim — drżało. Silnie waliły puls.

— Żle — pomyślał — rozchoruje się na dobre i —  
? Tak...  
Żal mu... Żal mu maszyny...



Z Polski o Polsce.

# Warszawa-Zakopane.

Garść wrażeń z 500-kilometrowej wędrówki pieszej.  
Ze Skaryszewa w Góry Świętokrzyskie.

Malownicza Ilża. — „Jej Iza“. — Postój w Wierzbniku. — Perła romańszczyzny Wąchock. — Wśród dawnych włości biskupów krakowskich: Świętomarz, Tarczek, Bodzentyn. — Święta Katarzyna. — Dorośli Polacy nie chadzają w Łysogóry; Czesi — owszem.

Kraków, 7 września.

Nazajutrz walę do Ilży. Szosa wśród ładnych wzgórz. Las, potem zdaleka, z bardzo daleka zarysowuje się mała, czarna sylwetka — ruina zamku ilżeckiego. Na 3 kilometry przed Ilżą zbaczam do Krzyżanowic — typowej polskiej wsi z białymi chatami, krytymi słomą, z ogródkami malw i maków, otoczonemi krzywymi płotkami, i szeroką, piaszczystą, rozjechaną ulicą. Nad stawkiem, gdzie kąpią się kacuszki, ciekawa figura z początku XVIII w., kuta w kamieniu dziwną techniką, zaokrąglającą wszystkie kany, ozdobiona herbami i napisami po polsku:

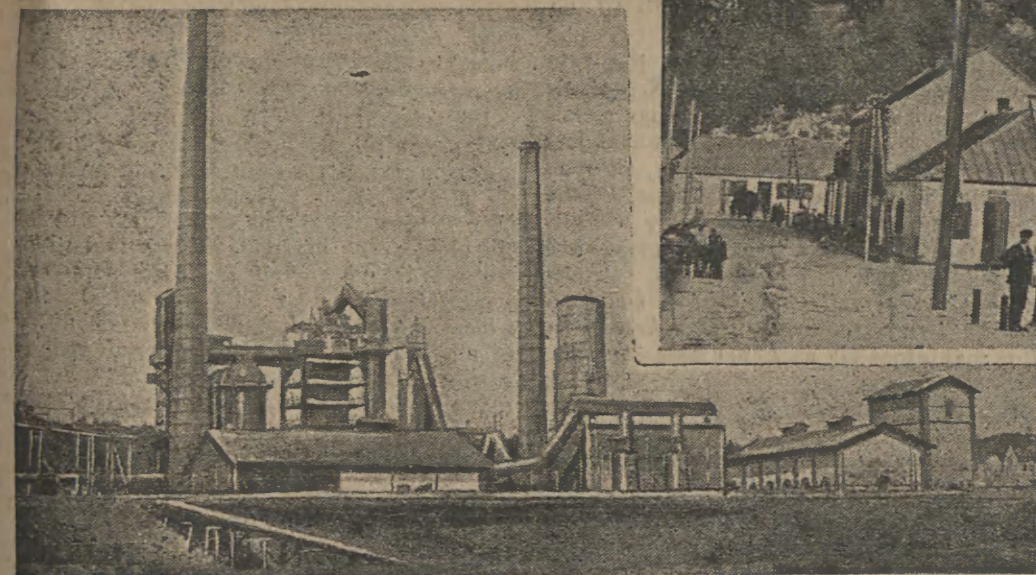
Zalosa widzis pozdrow Marja mijając  
Czechli bidc pociesoni od Niei umierając.

Drugi napis, pod herbem umieszczony, głosi o fundatorach:

Krzysz Panski pod krzajem herb Krzyżanowski  
dani  
I za dzielność odwagi Przotkow Abdank iel  
przidani.

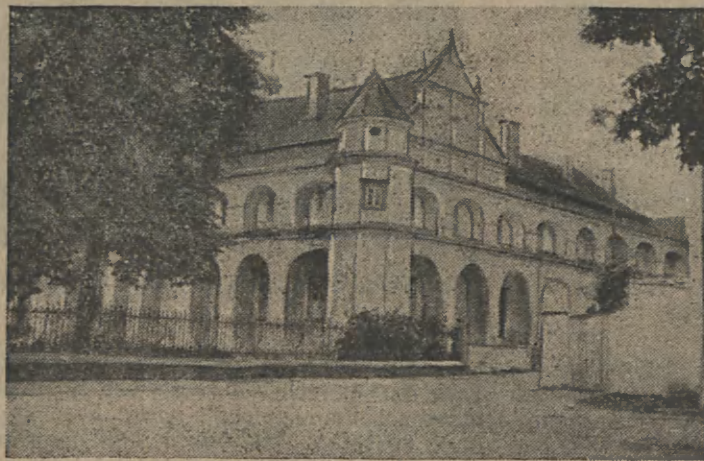
Opodal w girlandzie rozłożystych drzew tuli się dwóchsetletni kościół drewniany, z zalamanym daszkiem i zgrabną sygnaturką.

Wracam na szosę do Ilży. Jestem już niedaleko miasta, a miasta jak nie widać, tak nie widać. Aż wyrasta nagle jakby z pod ziemi — ukryte za wzgórzami, głęboko w dolinie Ilżanki. Gościniec gwałtownie opada na dół i wyprowadza pomiędzy kręte, wąskie ulice miasteczka. Zdumiony jestem jego niezwykłą w naszej płaskiej Kongresówce malowniczością: tuż ponad śródmieściem, na wyniosłej stromej skale piętrzą się wśród zieleni białe, szeroko rozrzucone ruiny zamczyska, uwiecznione masywną okrągłą basztą. Gdziekolwiek pójdziesz — czy przemkniesz główną ulicą,



Wielki piec fabryczny w Starachowicach.

czy wejdiesz na niewielki, zwarty rynek, albo na targowisko — wszędzie ponad białozłótemi, z kamienia wapiennego budowanymi domkami miasteczka góruje potężne zwalisko.



Klasztor w Wąchocku.

Zwiedzam tedy Zamek. Po drodze — ciekawy stary kościół farny i dalej nieco — za rzeką — kościół św. Ducha, przez Zbigniewa Oleśnickiego ufundowany, dziś zrujnowany, deskami zabity — od czasu wielkiej wojny. Potem — pnę się na górę.

Cudny stąd widok — miasteczko całe jak na dłoni, w dali ciemnieją rozległe lasy starachowickie. Legenda (powtarzam za Janow-

skim — „Wycieczki po kraju“) głosi, że pewien młody książę, patrząc stąd na okolice, tak był zachwycony, że — runął w dół i zabił się. Matka bardzo po nim płakała i miasto nazwano — Jej Iza, co później fonetycznie przekształciło się w — Ilżę. Piękna to legenda, naprawdę jednak, jak się zdaje, nazwa miasta pochodzi prosto od ilastego gruntu.

Ilża była przed wojną stolicą powiatu. Dziś siedzibą starostwa ilżeckiego jest Wierzbnik. Ilża bowiem została w czasie działań wojennych tak straszliwie spustoszona, że kiedy znalazła się pod okupacją austriacką, nie było tu prosto budynku na pomieszczenie władz powiatowych. Gruzy i gruzy. Jeszcze dziś widzi się wiele domów zawalonych i nieodbudowanych. Ilża nie rezygnuje jednak ze swych praw i, choć oddalona od

ilżeckiego późnym wieczorem. Na szosie przed miastem spaceruje patriarchalnie a uroczyście „cały Wierzbnik“ — takie sobie ot miejscowe „Planty“ czy „Aleje“. Dalej — jakieś ciemne, zapadłe uliczki, rynek z całą armią kramów „orzeźwiających“. Zapytany policjant wskazuje mi uprzejmie Hotel Kupiecki, jako „najwytworniejszy“ w mieście. Co za luksus! Przez sień trzeba iść z niebywałą ostrożnością, żeby sobie nie rozbić głowy. Małeńki pokój z oknem, wychodzącym na jakiś daszek, na którym spoczywają przedwojenne resztki jedzenia, pudełka od sardynek, szmaty, fragmenty kołnierzyków i inne interesujące eksponaty. Apartament oświetlony archaicznie stearynką. Pościel — hm...

— Pani będzie łaskawa dać mi świeżą pościel.

— Świeżą pościel?! Ta jest bardzo czysta,



Ruiny zamku w Bodzentynie.

szlaków kolejowych, domaga się energicznie przywrócenia starostwa.

Wędrówka po wzgórzach zamkowym, wśród pełnych tajemnic korytarzy i salek podziemnych, i — wśród rzuconego między ruiny skromnego parku miejskiego, a potem — spust na dół; obiadek i — marsz dalej.

Do Wierzbnika!

W Blazinach, na przedmieściu Ilży, dymi

tu dopiero jeden pan spał!

— Właśnie dlatego proszę o świeżą.

— Ależ proszę pana, ten pan, co tu spał, to był bardzo porządny człowiek! Kupiec ze Skaryszka! Może go pan nawet zna? Nazywa się...

Po długiej walce, zdobyłem czyste prześcieradło. Osobną, niemniej zacieklą kampanię musiałem stoczyć o pozostałe części pościeli.

Następny dzień muszę poświęcić odpoczynkowi — z Ilży do Wierzbnika „odwalliłem“ około 40 kilometrów, a przytem w bucie turystycznym coś się tam popsuło, gwóźdź niecnota przebił podeszwę i poranił niemiłosiernie nogę.

Nazajutrz popołudniu ku wielkiej radości byłem znowu „w formie“ i wybrałem się na przejażdżkę kolejową do pobliskiego Wąchocka. Towarzyszy mi młody harcerzyk. Jedziemy kilkanaście minut wśród zalesionych wzgórz, doliną wijącej się rzeczką Kamienną. Mijamy kominy, piece, dźwigary i kolejki powietrzne zakładów Starachowickich, później ładną, na stokach górskich rozrzuconą kolonję mieszkaniową. Wąchock! Niedaleko stacji, tuż przed pierwszymi zabudowaniami miasteczka — niezgrabna kamienna brama i — wspaniały kompleks gmachów klasztornych z potężną wieżą, która dominuje nad okolicą.

Klasztor wąchocki założony został w końcu XII w. przez Cystersów, sprowadzonych z Francji w celach cywilizacyjnych przez światłego biskupa Gedeona. Przynależny do kadłuba klasztoru kościół jest jednym z najpiękniejszych w Polsce okazów stylu romańskiego. Mury z gładkich ciosowych, naprzemian białych i rdzawo-czerwonych, dach osty, spadzisty — surowa powaga, a zarazem galijska lekkość i wdzięk. Szkoda, że kościół szpeci dobudowana później kruchta,



Widok z targowiska na wzgórze zamkowe w Ilży.

kilka bardzo prymitywnych wapienników, w których wszakże wypala się podobno dobre, tuste wapno. Potem wkraczam pomiędzy lasy, chłodne, dumne lasy starachowickie, które towarzyszą mi nieprzerwanie aż do Wierzbnika.

Przychodzę do dzisiejszej stolicy powiatu

Zamknął drzwi, ale od wewnątrz. Pęk kluczy, zostawiony w zamku, dzwonił przez chwilę. Rozchybotane klucze zastygły w gestej ciszy.

Chciał jeszcze raz popatrzeć na swą petiłowkę. Powoli, ostrożnie szedł przez sionkę, przez pokój kaszt...

Nagle —  
Cóż to?  
— Drżący głos jego zabrzmiał po sali.

Nie, niema nikogo. Skądby? Po co? Hala linotypów...  
Och, jak smutno...  
I znów —

— Kto tam?...  
Tam — cień przemknął... Nie! Skądby? Po co? To pewnie światła z ulicy...

Ale — za nim? Tam — w sali starych kaszt?

Obejrzał się...  
Nic...  
Trudno... Serce szumi... Serce rośnie w zapadniętych piersiach... Tętnią puls...  
Nic... Pustka i cisza...

Dalekie sygnały tramwaju — aut... Ulica żyje i śmieje się...  
Cień...  
Znów nic...  
— Chory jestem — szepcze stary Florjan — chory — i mam przywidzenia...  
Zwrócił wzrok do głębi sali maszynkę. Lecz błysk nagły z głębi sali pociągnął jego znużone oczy...

Serce szumi... Tam —  
W głębi —  
Tam stoi wielki stół obity blachą. Dźwiga

po bokach potrzebne jeszcze, a nieużyte układy. Lecz co jeszcze ma na sobie w tę dziwną noc ten stół obity blachą?

Stary Florjan idzie powoli ku niemu...  
Pośrodku stołu — wielki układ...  
Kto ze światła i gwiazd podlewał te wielkie czcionki i złożył je w zwartej kolumnie na tym stole?

Florjan czyta... Biegle czyta odwrócone słowa... Czyta treść swego życia...

Gdy skończył czytać jedną, zjawia się nowa kolumna... i nowa... już cały stół nakryty... już na ziemi... na parapetach okien — kolumny... błyszczące kolumny...

Czyjaś ręka złożyła treść jego życia. Pamięta: to jest to, co on składał. To jego litery — jego linijki, kroniki i nekrologi...

Gładko, równo odlane, pięknie złamane...  
Kroniki...  
Nekrologi...

I nagle wyrasta przed jego przerażonemi oczyma krzyk, krzyk ogromny oszalonego serca.

— Tyle nędz! Tyle zbrodni! Tyle łez! I to wszystko przez tyle lat przeciekało przez jego palce, jego oczy, jego umysł!

I cóż, że garmontowy Michał składał piękne, idealnie brzmiące artykuły wstępne i feljetony o słońcu i miłości? I cóż, że bogisowi Antoni, Stefan, Karol i Jędrzek składali tyle podniosłych słów i mów, uwag, orzeczeń, notatek, podziękowań, życzeń w szeregach najrozmaitszych artykułów? Ze przewijały się tam szlachetności i piękności, podniosłości i idealności? I cóż, że przy kaszcie kursywy stary Jan składał tak piękne, przez dwie spal-

ty w dużym świetle poezje pełne miłości i dobroci?

Cóż z tego, gdy on — Florjan — składał więcej!

„O, stokroć więcej!...  
Straszne, straszne słowa... Czyta — przypomina sobie — wie...  
Jego praca — treść jego pracy, a więc treść jego życia.“

Lży spadły na drapieżne, na wytłale z rozpaczki żrenice. I te lży zgasiły świetne kolumny. Znikły kolumny. Pusty ostał stół obity blachą...

Cisza — ciemność — drukarnia śpi...  
Treść jego życia...

Stary Florjan idzie powoli ku drzwiom... Serce szumi...

Mija poważne, a szydercze linotypy. Ramiona ich zastygły w chwycie palców wżartych w poziomą sztabę. Olów w zimnych kościolkach. Białe szczyrzące zęby klawiatura liter.

A litery śpią... Jutro się zbudzą... I on — kronika i nekrologi... Lży, morderstwa, krew, skazania, śmierć... Nędza — nędza!... I ból...  
Oto jego linotyp. Jego maszynka petiłowa śpi także. Pochodzi do niej — ledwo spojrział — mija.

Nagle —  
— Florjanie!  
Serce skowycze w piersi... Kto go woła?  
Musi spojrzeć...  
Co?...

Przy jego linotypie? Przy jego petiłowce ktoś siedzi — palce gotowe do poruszeń po białych kwadratach liter?

— Kto? — głos wybiega słaby i łamie się. Ciemna, smutna postać...

— Florjanie — poczekajcie chwilę...  
Nieznany cień zaczyna grać na linotypie. Chrząści stalowa łapa. Olów rozgrzany dziwnym, widmowym płomykiem. Nurzają się litery. Potem wracają paciorkowym pacierzem do swych przegródek.

Już? tylko cztery srebrne, gorące linijki! Ach, jak błyszczą!  
Cień trzyma je na dłoni...  
Florjan czyta:

„Nekrologja. Florjan... lat 55... starszy zecer... drukarnia „Echa Porannego“...  
Co to znaczy? Literę mglą się... Serce wali...  
„Dnia... o godzinie 11 w nocy... na miejscu swej czterdziestoletniej pracy... zamordowany...“

— O tak — myśli Florjan. — Petitowa maszynka nie zna innych słów — tylko zamordowany... O, tak...  
„Zamordowany... przez...“

Zamyka oczy...  
Rozumie...  
Nie czyta dalej...

Wie, przez co zamordowany. Wie, choć lśniące kolumny zniknęły już z dużego stołu obitego blachą...  
Wie...

Ręką chce chwycić za żelazne żebra maszynki.  
Zimno...  
Ręka się zsuwa...

Ciało pada na kamienną posadzkę...  
Serce milknie...  
Drukarnia śpi...



pomalowana nieudolnie i niesmacznie w ten sposób, że mur ceglany ma imitować ciosy, i zasłaniająca w dodatku uroczą rozetę fasady. W kościele wiele starych pamiątek, odrzwia w żelazie kutę, cudnie rzeźbione *chrzcielnicie kamienne z przed 700 laty*. Boczne drzwi łączą kościół z klasztorem. Mieszczą się tam dziś *zakłady wychowawcze dla dzieci*. Dawniej było *gimnazjum*. Budynki klasztorne z zewnątrz noszą cechy pogodnego *Odrodzenia* — wiele uroku dodają im *głębokie wnęki okienne*, stwarzające złudzenie *arkadowych krążanków*. Najpiękniejszym wszakże szczegółem klasztoru jest bezwątpienia *kapitułarz*, niewielka, na czterech kolumnach sklepiona salka — *bezczesny klejnot budownictwa i rzeźby romańskiej*. Kolumny posiadają piękne głowice o motywach roślinnych, u stóp ich tuła się dziwaczne gęby jakichś potworków. U ścian cztery wsporniki, dźwigające wspólnie z kolumnami sklepienie — a każdy inaczej pomysłały. Od korytarza oddzielają kapitułarz koronkowe okienka-przeźrocza.

Nacieszywszy się cudami Wąchocka, wracamy do „rodzinnego“ Wierzbnika. Nazajutrz rankiem wyruszą dalej — ku *Lysogórom*, odprowadzani na rowerze przez mojego harcerzyka.

Czują już góry. Maleńki kawałek szosą wśród pogodnej doliny *Kamiennej*, od *Starachowic Górnych* skręć ścieżyną w las silnie pod górę. W dół ku wartkiej *Lubiance*, a potem znów wzwyż, wśród ciemnych, posępnych lasów. Urywa się las nagle w *Radkowicach* i ukazuje się przedemną daleki widok na *siną, mocną, a kuszącą oko pas rdzennych Lysogór*, od *Świętej Katarzyny aż po klasztor Świętokrzyski*. Poprzez żyzne, na tłustych *łóssach* upasione pola, poprzez długie, wzdłuż dróg wyciągnięte wioski, zdążam w kierunku *Bodzentyna*. Nakładem parę kilometrów, aby po drodze obejrzeć jeszcze *Świętomarz* z bielonym *kościółkiem* ostrołukowym z 1367 r., takim szacownym, a dziwnie chropowatym, podpartym całym kompleksem najróżniejszych przybudówek i przystawek. Tuż o stację za *Świętomarzem* — *Tarczek*. Jesteśmy w okolicy, która ongiś była ośrodkiem *włości biskupów krakowskich*. *Tarczek* był od niepamiętnych czasów ulubioną ich rezydencją. Już na sto lat przed założeniem *Wąchocka* stał *kościół romański w Tarczku*. Stoi do dziś dnia, ciesząc oczy wędrowca doskonale przechowanymi ciosowami murami i wazniakami okiennymi, z których technie *powaga ośmiu wieków*...

Szukam ciekawych obrazów, o jakich wspomina przewodnik. Obejrzawszy kościół, odpoczywam opodal na ławce.

Napataczył się jakiś młody obywatel.

— Pan tak sobie zwidza?

— A tak!

— A *trytyt* pan widział?

Kombinuję, że chłop ma na myśli *tryptyk* — pewnie „*cenne części tryptyku z XIV wieku*“. Dwa obrazy z tego tryptyka wiszą w kościele. — A gdzie trzeci? Chłop prowadzi mnie do drewnianej dzwonnicy i tam z pod kupy zwalonych rupiec, desek i połamanych ram wyciąga *resztkę starego malowidła*, znajdującą się w oplakany zaiste stanie. Mamy w Polsce tak niewiele zabytków malarstwa i rzeźby dawnych wieków — zawieruchy i pożogi wojen i rozbiorów wyniszczyły lwia część dawnych naszych bogactw... Te nieliczne dzieła starej sztuki, jakie posiadamy, powinniśmy *przechowywać*

*jak relikwie*. Tymczasem *cenne prastare malowidło rzucone na rumowisko gratów*...

— Wisiało se dawniej w kruście, ale zaczęło się plótno drzeć, to przenieśli tu, bo to już nieładnie wyglądało... — objaśnia chłop.



Kościół drewniany z pocz. XVIII w. w Krzyżanowicach.

A teraz — do *Bodzentyna*. Biskup *Bodzanta Jankowski* założył to miasto na gruntach *wsii Tarczek* i od imienia swego *Bodzentynem* nazwał. Wspaniale się gród rozwijał pod władzą możnych dostojników Kościoła, którzy tu wzniesili wspaniałą *zamek*, bogactwem *Wawelowi* niemal równy, ufundował *oka załą*, do dziś dnia doskonale zachowaną *ko-*

*legiatę* i opieką otaczali *mieszczanstwo*. Dziś siejszy *Bodzentyn* niewiele zachował z dawnej chwały i tylko — rzecz niezwykła — *dwa rynki* miejskie świadczą o wielkiem ożywieniu handlowem, jakie tu ongiś *panowało*. Z zamku — *ruina*, malowniczo rozrzu-



Fragment kościoła romańskiego w Tarczku.

cona na wysokim wzgórzu ponad *Psarką*. Parę kamiennych renesansowych obramowań okien z herbami, piękny *portal kamienny* — ot, i wszystko. Dziś wśród ruin, na trawiastym placu wytwórna młodzież *bodzentynska* gra w tenisa i wygrzewają się mamy ze swemi pociechami.

*Bodzentyn* współczesny jest cichy, jakby

zadumany o swej świetnej przeszłości! — drży ze strachu przed pożarem. Trzy razy już ponoć się palił i zawsze odbudowywał się — w drzewie. Głupi i po szkodzie... Pamięta o niebezpieczeństwie ognia nie tylko ludność, ale i „*ojcowie*“ miasta, o czym świadczy takie oto rozlezione na rogach rozporządzenie:

„*P. Obywatele Domów Jak Również i Lokatoży Maią mieć pszyswoich Mieszkanłach po dwie beczki wody obowiąskowo dziś toiest 23. wieczorem puidzie rewizja ukogo Nieben-dzie zapłaci kary 5 zł.*“

Z *Bodzentyna* do *Św. Katarzyny* 7 kilometrów prześliznym gościńcem, pnącym się wężowato pod górę i dającym wspaniałe widoki na okolicę, na skulony u stóp kościoła i ruin zamkowych *Bodzentyn*. Później droga wyprowadza nas pomiędzy aromatyczne polany leśne, gdzie zdala w obramowaniu drzew, widnieją sinawe szczyty. Po pięciu kwadransach staję we wsi *Św. Katarzyny* i melduję się w *schronisku turystycznym im. Stefana Zeromskiego*. *Schronisko* stoi w polu, o paręset metrów od traktu — przepiękny stąd widok na *biały klasztor* z malowniczo na tło lasów rzuconą wieżą i na długi, ciemnozielony *wal Łysicy*.

*Schronisko* zbudowali własnym sumptem państwo *Dziaczkowscy*, entuzjastyczni wielbiciele *Gór Świętokrzyskich*, i prowadzą je po egidą *Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego*. Solidny miły domek z gankiem, mieszci jedną salę dużą i dwie mniejsze.

— Dużo turystów?

— Owszem, przychodzą, ale niemal wyłącznie dzieci, młodzież szkolna. *Dorośli u nas nie lubią turystyki*, uważają chyba, że to nie wypada wędrować...

— Nigdy nie przychodzą tu wycieczki dorosłych?

— A, owszem, zdarzają się; raz było tu ośmiu panów, którzy zwiedzali góry. Byli to jednak... *Cześć*.

*Wilhelm Sztrancman, Warszawa.*

ZOFJA KRÓLOWA.

Życie i zwyczaje skorpionia-niedźwiadka.

Legenda i rzeczywistość. — Budowa owada. — Walka na śmierć i życie. Z miłości do... żołądka.

Kraków, 7 września.

U ludów afrykańskich istnieje szereg legend, w których gra niepoślenia rolę „*niedźwiadek*“, zwany powszechnie skorpionem. Jedna z takich legend głosi, że w dniu, gdy Bóg stwarzał zwierzęta, *zły duch podstępnie* rzucił na ziemię *garść prochu*, z którego to posiewu rozmnożyły się *dręczące ludzkość zwierzęta*, jak *pchły, muchy, komary, gady złośliwe*. W tem dobranem towarzystwie znalazły się *skorpiony*, które są prawdziwą plagą ludności tropikalnej.

I rzeczywistość do takiej genealogii mogą się śmiało przyznać skorpiony; nie są bowiem zgoła pożyteczne, ani piękne — nie przedją pajęczyny, chociaż w rodzaju należą do *pajęczaków*, a tylko dają się boleśnie we znaki ludziom i zwierzętom. Ukłucie skorpionia sprawia w całym ciełe swędzenie i pieczenie.

Już w najdawniejszych czasach *szkaradny wygląd* skorpionów i znane ich właściwości

wzbudzały przestrasz i obrzydzenie; nie też dziwnego, że otaczały ich straszliwe legendy, a samo napotkanie skorpionia było pożytywane za *zły omen*; to też np. królowie Egiptu przed każdą podróżą ślali posłańców, nakazując oczyścić drogi ze skorpionów, by im nie były złą wróżbą.

Przypatrzmy się, jak wygląda i jak żyje ten owad. *Niedźwiadki-skorpiony (Scorpionidae)* zamieszkują *strefy gorące*, u nas niema ich zupełnie, a i w *Europie południowej* jest ich niewiele i tylko małe *gatunki*, których ukłucie jest wprawdzie bardzo *bolesne*, ale nie niebezpieczne; zato *tropikalne formy* wielkie, dochodzące do 16 cm długości, mogą być rzeczywistość bardzo *niebezpieczne*. Bronią skorpionia, którą zadaje bolesne a śmiertelne dla zwierząt ukłucie, jest *zakrzywione żądło*, znajdujące się na końcu sześciocłonowego, bardzo giętkiego *ogona*. W ostatnim odcinku ogona znajduje się bowiem *gruczoł*

*jadowy*, mający ujście w ostrym kolecu jadowym. Dzięki temu jadowi skorpion jest prawdziwym postrachem.

Dziwaczne ciało skorpionia ma *głowę i tułów zrosnięte* w tak zwany „*głowotulów*“, z siedmiu członów złożony i „*zaodulok*“, zwany *ogonem*, który składa się z sześciu, daleko węższych członów i zakrzywionego kolca na końcu. *Szczękorożki* jego są silne, ale nie wielkie; natomiast uwagę zwracają jego olbrzymie „*nogogłaszczki*“, zakończone silnymi *kleszczami*, jak u raka. Nożycami temi chwytą zdobycz, przeważnie owada, i uniósłszy w górę, zadaje mu *śmiertelną ranę żądłem ogona*, który wykrecą w luk. *Cztery pary członkowanych nóg* nie dodają mu wdzięku, tem więcej chropawy, twardy i czarny *chitynowy pancerz*, jakim jest pokryty.

Jak niesamowity jest wygląd skorpionia, takim jest też jego *sposób życia*. Podobnie, jak inne rabusie, *poluje na noc*, orientując się nietyle słabo wykształconym wzrokiem, ile *czuciem*; chwytą bowiem w otwarte zawsze kleszcze co mu pod nie wpadnie i czego dotknie. Dniem chętnie *kryje się po domach*, w szczelinach, a z upodobaniem *w pościel i białą bieliznę*, ale stałem miejscem ukrycia są mu *kamienie*, gdzie też w porze godowej, z wiosną, przygotowuje dla samicy w ziemi rodzaj *gniazda*, wabiąc weń polowicę. Zdarza

JOLA FUCHSÓWNA.

Kobieta w podróży.

„*Panowie i panie*, jak mówi prolog w „*Pajacach*“, czy zauważyliście, że większa część podróżujących rekrutuje się obecnie z *kobiet*? Oczywiście nie mam na myśli takich podróżujących, którzy w małym kuferku wiozą *próbki jedwabiu lub ostrza do żyłtek* i wyrzuceni frontowymi drzwiami, powracają schodami dla służby! Nie, mówię tutaj o tych szczęśliwych ludziach, którzy jadą w podróż dla przyjemności, którym dobry los pozwala przemierzać lekką stopą dalekie lądy, a nawet morza i wysyłać stamtąd gustowne kartki z widoczkami do swych przyjaciół. Otóż wśród tych szczęśliwców przeważają *kobiety*.

Początek dały *Amerykanki*. Mężowie ich, robiący w *biznesie*, nie mogą przeważnie opuścić ojczystego kraju, chyba na starość, kiedy się wycofają z interesu, a zato przybiorą na wadze. Wobec tego *Amerykanki* jeżdżą same i napelniają swoim sześciobitem *Ufficie florenckie, zaulki Barcelony, żłebry skalne w Alpach, fjordy norweskie*, a przedewszystkiem *blekitne i nieblekitne ekspresy i pulmany*, kursujące po całej Europie. Wolają jednak „*Wonderfull!*“ i „*How lovely!*“ na widok „*Nocy*“ *Michała Anioła*, jak i nagiego tancerza z „*Folies Bergeres*“.

A że z *Ameryki* przychodzą do nas *fale upałów* i ekscentryczne mody, manja *żucia gumy*, jak i wyborów *królowych piękności*, nie więc dziwnego, że i kobiety europejskie ogarnęła żądza podróżowania. Nie można im brać tego za złe, gdyż z wszystkich nalógów ten jest może najpiękniejszy i najwięcej daje wrażeń.

Coraz częściej widzimy obecnie na dworcach taki obrazek rodzajowy: w oknie pociągu, który ma za chwilę gwizdnąć i runąć w

przestrzeń, znajduje się *pani*, a *maż* jej stoi na peronie, powiewa chusteczką i stara się zrobić smutną minę. Ale mu to się nie bardzo udaje. *Pani* zaś, ułokowawszy się z wielkim hałasem, po zbadaniu, czy przedział nie jest Boże broń *damski*, rozmieściwszy na wszystkich siatkach swoje rozliczne bagaże, wychyla się czule przez okno i rzuca jeszcze ostatnie rady:

„*Uważaj, ażeby mole futer nie zjadły!*“

„*Uważaj, aby Kaśka nie stłukła serwisu!*“

„*Uważaj, aby Tadek nie zepsuł sobie żołądka gruszkami!*“

„*Nie wychodź z domu wieczorem!*“

„*Nie pij piwa w taki upał!*“

„*Nie zapomnij powiedzieć ludziom, dokąd pojechalam!*“

„*Nie pisuj zbyt często, bo szkoda pieniędzy na te zagraniczne znaczki!*“

*Maż* słucha cierpliwie, ale konduktor ma tego widocznie dosyć i pociąg opuszcza pośpiesznie dworzec, zanim *pani* zdążyła skończyć litanję swoich poleceń.

*Pani* zabiera ze sobą w drogę kufer i kilkanaście mniejszych walizek, które często gubi, z czego wynikają najrozmaitsze komplikacje, o których będzie za powrotem opowiadać *mrożące krew w żyłach historiel*.

Ja osobiście żałuję nieslychanie czasów, w których podróż odbywało się *poszostną karocą* lub najwyżej *dylizansm pocztowym*. Konie szły leniwo, a na każdym zakręcie czekała *przygoda*. Jeśli napadli taki *dylizans bandyci*, to byli oni wszyscy *znakomitego rodzaju* i ściągając damom pierścienki z palców, pokrywali je *gorącymi pocałunkami*.

Dzisiaj, jeżeli się spotka taki przykry incydent w najpośpieszniejszym z ekspresów, nazywam piękna nazwę „*Blekitnego ptaka*“, lub „*Gwiazdy północy*“, to sprawcy będą mieli z pewnością *brudne paznokcie* i od kilku dni *niegolone oblicza!*

Ale romantyzm umarł i trudno go wskrzesić. Zatem musimy przyjąć z rezygnacją te *dzikie pomysły* rozmaitych *Stevensonów i Edsonów*, które nas w przeciągu 24 godzin przenoszą z jednego krańca Europy na drugi.

Muszę tutaj zaznaczyć, że nie wszystkie kobiety jadą w podróż z wielkim bagażem. Są i takie, którym wystarczy *aparaturę fotograficzną* i mała *torbka podróżna*. *Do tych należy świat! Pozbawione balastu*, mogą dotrzeć do samego źródła jego piękności. Jaka szkoda, że nie można wyruszyć w drogę w jednej tylko sukieneczynie, kupić nową, gdy ta się zniszczy, a stare odzienie *porzucić na drodze*, jak to czynią w Ameryce ze starymi samochodami! Ale do takiej doskonałości jeszcze nikt nie dorósł!

Tym *paniom*, które wyruszają w świat „*pod bronią*“, to znaczy zabierają ze sobą cały arsenał swej piękności, zaklęty w rozmaite gazy, crepe-de-chiny i brokaty, w trzewiczki z *tysiąca i jednej nocy i kapelusze*, na widok których każdy stuprocentowy mężczyzna musi oszaleć — tym *paniom* chciałabym dać parę dobrych rad.

A więc przedewszystkiem, gdy się zabiera tak wiele rzeczy, nie trzeba już pominąć ani jednej. Czy to chodzi o *stare podwiązki, czy o zrudzialego lisa*, lub też *wyniszczony sweater*, wszystko powinno znaleźć miejsce w kufrze. Pominiecie tych cennych rekwizytów okupuje się potem wiecznem utyskiwaniem i gorzkimi żałami. Marznąć nad jakimś *groźnym Atlantykiem*, lub wśród najpiękniejszego krajobrazu górskiego, wzdychać taka *kobieta*: „*Ach gdybym tu miała mój stary bajowy szlafrok lub ten pled od cioci. W drobna krateszke!*“ A znowu w samem sereu *Sahary* zacznie żałować jakiejś sukienki, którą zamierała już darować służącej. „*Byłaby dosko-nala do wycierania tych piasków*“ — mówi wtedy z żalem piękna podróżniczka.

Nic boleśniejszego dla kobiet, jak kupować

rzeczy *pożyteczne i praktyczne*, podczas gdy ich największą przyjemnością jest wydawać pieniądze na rzeczy *blache*, a nawet całkiem niepotrzebne. *Kobiety* kupują najchętniej *perfumy, kosmetyki i jedwabną bieliznę*, natomiast z ciężkim sercem płacą *bilet tramwajowy lub rachunek za gaz*. Również i w podróży, jakże miło jest wydawać pieniądze na takie rzeczy, które po kilku dniach nie przedstawiają już żadnej wartości i których się właściwie wcale nie zamierzało kupować.

Ale była przecież mowa o dobrych radach dla podróżniczek. Otóż, wracając do tego tematu, trzeba przedewszystkiem pomyśleć o *samej podróży*. Mam tu na myśli nie podróż samolotem, ani też nawet samochodem, tylko *zwyczajną, solidną koleją*.

W tym to wypadku trzeba się dobrze zastanowić nad wyborem przedziału. Broń Boże, nie trzeba zająć miejsca w przedziale dla *niepalących!* Niepalący mężczyźni dzielą się na dwa gatunki: na tych, którzy wogóle i *zasadniczo* nie palą i skutkiem tego patrzą na każdego człowieka z tą samą nieuprzejmą *podejrzliwością*, z jaką urzędnik celny szuka kontrabandy tytoniowej — i na tych, którzy się *odwyzyczili* od palenia. Ci ostatni są jeszcze gorsi, bo dręczą ich brak ulubionego *papierosa* i cierpią prawdziwe męki *Tantala*, kiedy z sąsiedniego przedziału doleci jakiś *turcecki lub egipski dymek!*

Każda z pań twierdzi zawsze, iż *gardzi znajomościami*, zawieraniem i czasie podróży. Ale człowiek jest tylko człowiekiem i kiedy spędzi się kilkanaście godzin w pociągu, nie można sobie odmówić wymiany kilku zdań na temat *podróży*. Ponieważ pogoda w tym roku zupełnie nie dopisała, więc temat jest bardzo aktualny i podczas, kiedy o szyby wagonu uderzają krople deszczu, toczy się coraz bardziej przyjacielska rozmowa.

Oczywiście nie namawiam żadnej z pań do zawierania znajomości, ale jeśli to już czynią,



się, że podczas zalotów zjawi się w gnieździe drugi samiec — wtedy między rywalami wywiązuje się natychmiast gwałtowny pojedynk na śmierć lub życie. W robocie są potężne szczęki, zabójcze kleszcze i żądło. Silniejszy zabija rywala. Pozostały zwycięzca ma prawo do gniazda i małżonki; ale trium-

fator niedługo się cieszy jej uczuciem. Gdyby ktoś rano zaglądnął pod kamień, do owej weselnej komnaty, ze zdziwieniem znalazłby tylko samotną samiczkę. Czula małżonka w ostatnim akcie pieśczoły miłośnej znalazła dla towarzysza miejsce, nietyle w sercu, ile w żołądku... Potrafiła bowiem zabić samca,

pochłonąć go i poprawić jeszcze zwiokami zabitego rywala... Jako pamiątka nocy godowej pozostały z samców zaledwie twarde szczątki chitynowego pancerza...

Małe skorpiony rodzą się żywe o wykształconej postaci. Zrazu są białawe, ale w miarę wzrostu ciemnieją. Jakiś czas, do kilku ty-

godni, samica nosi na sobie około 20 do 25 małych potomków. Znanem jest opowiadanie, że skorpion w złości, w strachu, czy w ogniu, sam się kaleczy i zabija własnym jadem, ale jest to bajka. Ani siebie, ani drugiego skorpionia jad ich nie zabija. Skorpiony, jak i inne „jadowite“ zwierzęta są na jad własny nieczule, czyli immunizowane.



Rys. 1) Niedźwiadek — skorpion afrykański (Scorpio-Roselli)  
1/2 nat. wielk.



Rys. 2) Chwila spotkania się przed walką dwu skorpionów.



Rys. 3) Tłkwa małżonka skorpionowa zabija swego męża po godach weselnych i zjada go.

## Walka gazowa w starożytności.

Pierwsze formy wojny gazowej. — Siarka u Greków. — Co mówią Tocydydes. — Walka gazowa u Rzymian. — „Ogień grecki“ u Arabów i Maurów. — Granaty dymiące i cuchnące w wiekach średnich.

Kraków, 7 września.

Co jakiś czas Liga Obrony Powietrznej i Przeciwigazowej Państwa urządza swe tygodnie propagandowe. Na odczytach słyszymy o groźbie współczesnej wojny chemicznej, urzędnicze pokazy dają nam możność naocznie przekonać się o jej skutkach. I mimowoli nasuwa się pytanie, czy to dopiero aż dwadzieścia wieków kultury dało nam ideę tej wojny, czy dopiero ostatnia zawierucha, najkrwawsza w historii wojen, zasada i sposób prowadzenia walki chemicznej wprowadziła.

Istota walki chemicznej polega na tem, by przeciwnika, przy możliwie najmniejszych stratach, uczynić niezdolnym do walki przez utrudnienie mu przebywania w jego środowisku. I ta idea już przed wiekami znajdowała zastosowanie, jak możemy się o tem przekonać, baczniej przeglądając historje wojen. Starożytna strategia dość rychło przekonała się, że rodzaje broni, które w walce otwartej dają rezultaty, w walce z warowniami zawadzają. Nieprzyjacieli nawet pobity w polu, cofał się do oszańcowania i warowni i długich często i krwawych trzeba było wysiłków, by go tam ówczesnymi środkami zwyciężyć. Napastnik był więc zmuszony oglądać się za nowymi środkami, za nowym rodzajem walki, któraby obrońcę uczyniła niezdolnym do obrony.

To też już w bardzo starych historjach wojen znajdowała w wielu wypadkach zastosowanie dążność, aby obrońcom w warowniach dymem, parą, pyłem, usypiającymi czy odurzającymi środkami przeszkodzić w obronie i w ten sposób możliwie bez oporu wejść w posiadanie miejsc obleganych. Tu mamy początki dzisiejszej wojny gazowej; oczywiście jest olbrzymi skok od chmur dymu czy pyłu starożytnych Rzymian, od zatrutej powie-

trza czy wody średniowiecza, od słynnego „ognia greckiego“ do współczesnych straszliwych chmur gazowych ostatniej wojny. Bo historia wojny gazowej jest w pierwszej linii historją jej środków — a te idą ręką z rozwojem techniki i chemji. Stąd dawniej wojny chemiczne, to były sporadyczne wypadki, dające małe wyniki, a stosowane przez sprytniejszych dowódców.

Ale przypatrzmy się, jak wyglądała ta, dziś sen z powiek spędzająca swą grozą, wojna gazowa w powiśniękach.

Do najdawniejszych materiałów wojny gazowej, o których nam mówi historia, zaliczyć musimy siarkę (S), której produkt spalania, dwutlenek siarki (SO<sub>2</sub>) przez swoje duszące działanie mógł obrońcę unieszkodliwić, a napastnikowi ułatwić atak. Historyk wojen peloponeskich Tocydydes wspomina już aż dwa wypadki, w których siarka w połączeniu z innymi materiałami palnymi znalazła zastosowanie jako środek walki. A ponieważ siarka jest złym materiałem palnym i napastnicy brali także w rachubę kierunek wiatru, musimy więc przyjąć, że nie samo palące działanie siarki, lecz przedewszystkiem wywiązujący się duszący dwutlenek siarki był wykorzystywany — mamy więc atak gazowy.

Jak wyglądał ten pierwszy, klasyczny atak gazowy, opisuje Tocydydes w drugiej księdze „Wojny peloponeskiej“ następująco: „Peloponezjczycy, widząc, że ich maszyny obleźnicze nie wskórały, a także ich podkop spowodował wzmocnienie szzańców nieprzyjaciela, postanowili miasto próbować przy pomocy ognia. Znosili więc wiązki drzewa i rzucali je ze swoich szzańców najpierw w fosse, a gdy te wypelniono, także i dalej w kierunku miasta, jak tylko dorzucić mogli. Potem narzu-

cali na to płonące żagwie z siarką i smołą — wówczas powstał tak ogromny ogień i dym, że wydawało się być wniecony ręką nie ludzką. I mało brakowało, by Plateje tym razem znalazły swój koniec, gdyby na szczęście nie zarwała się burza i gwałtowna ulewa, która ogień zagasiła“.

Jeszcze wyrazistym od tego streszczenia jest epizod z IV księgi „Wojny peloponeskiej“, gdzie Tocydydes, opowiadając o oblężeniu tego samego miasta Platejów, opisuje urządzenie, które żywo przypomina nietylko współczesne ataki gazowe, ale także i groźne miotacze płomieni. I tutaj też siarka znalazła największe zastosowanie, a to w ten sposób: „Między innymi środkami, jakich próbowali, zastosowali następujące urządzenie, przy pomocy którego zawładnęli placem boju. Rozcięli ogromną kłodę drzewa wzdłuż, wyłobili całą i złączyli starannie naksztalt rury. Potem na dolnym końcu przymocowali łańcuchem duży kocioł, do którego przez wydrążenie w kłodzie dochodził róg, na końcu żelazny. Także i sama kłoda dla mocy była w większej części okuta żelazem. Teraz przywieźli to urządzenie na wozie pod sam mur, mniej więcej w to miejsce, gdzie w budowie użyte było drzewo; poezem zbliżyli wielki miech do otworu w kłodzie i wyprawili go w ruch. Powietrze, które teraz przez wydrążenie dęło do kotła, napelniono żarzącymi się węglami i siarką, wzniciło ogromny ogień tak, że nikt z obrońców tam nie mógł zdzierżyć i wszyscy szaniec opuścili. W ten sposób szaniec został zdobyty“.

A jak było w Rzymie? Tu też idea tej wojny znajdowała zastosowanie. Pierwsze ślady znajdujemy w życiorysie Sertoriusa. W tym wypadku użyty przez tego sprytnego wodza grzązący popiół możemy porównać z modernymi obecnie środkami chlorem czy fosgenem. — W XVII rozt. wspomnianego życiorysu pisze Plutarch: „Sertorius kazał swoim żołnierzom z pewnej sypkiej, podobnej do popiołu ziemi odrywać kawały i naprzeciwko wzgórz barbarzyńców rzucić na stos, z czego ci ostatni śmiaili się. W ten sposób pracowali żoł-

nierze aż do zmroku. Z braskiem dnia wiał lekki wiaterek, który najsuchsze części rozpylił. Gdy potem zerwał się coraz silniejszy wiatr północny i wzgórze zasłonił, zaczęli żołnierze na usypanym wzgórzu tę ziemię rozbić, inni znów jeździli konno i rzucali ją wysoko na wiatr, który zabierał wszystkie pyły i niósł na mieszkania barbarzyńców, wystawione właśnie na wiatr północny. Ponieważ barbarzyńcy w swoich piecach tylko pojedyncze otwory mieli, a to dla powietrza, więc nie trwało długo, gdy mieli zasyppane oczy, a także przy oddychaniu suchym zapyłonym powietrzem, zostali nawiedzeni duszącym kaszlem. Tak wytrzymali zaledwie dwa dni, a w trzecim poddali się Sertoriusowi i wzmocnili nietylko jego moc, lecz także i sławę. Albowiem to, co nie dało się osiągnąć bronią, dokonał mądrością i podstępem“.

Tyle Plutarch.

Później wielu i innych dowódców niemiejszych sprytnych jak i sławnych, a takich starożytna Roma miała wielu, próbowało i na tem polu szczęścia. Więcej nawet — idea ta znalazła tak szerokie zastosowanie, że za czasów cesarstwa ukazało się całe mnóstwo dzieł, które obok traktatów o sztuce wojennej, podają różne podstępny wojenne. A więc zatrutawie studzien, powietrza, garnki napelniane śmierdzącymi substancjami, dymy śmierdzące i t. p.

Ogromną rolę odgrywała tu sztuka czarodziejska, przynosząca moc niesamowitych recept na różne mikstury śmierdząco-duszące. Stąd później w walce tego rodzaju celowali Arabowie i Maurowie, mistrze w sztuce lekarskiej i alchemji. Używali oni trujących i usypiających dymów, które uzyskiwali ze spalania połączeń arsenowych i zawierających opjium, a dalej słynnego „ognia greckiego“, cudownej, względnie czarodziejskiej mieszanki, wywołującej niczem nie dający się ugasić płomień, połączonej z grzązącym dymem. — Z tym to wynalazkiem spotkali się i nasi przodkowie pod Lignicą. Recepty na sporządzenie ognia greckiego w najrozmaitszej formie spotykamy w dziełach ówczesnych alche-

to powinno unikać mężczyzn o chorowitym wyglądzie. Po pierwsze dlatego, że przez cały czas podróży będą je zanudzać opowiadaniem co im dolega i dokąd jadą się leczyć, a powtóre, i co jest znacznie ważniejsze, ponieważ nie nadają się zupełnie do noszenia kuferek na wypadek, gdyby nie było bagażowego.

Nie bardzo jest także dobrze trafić w czasie podróży na historyka. bo taki żąda od kobiety, ażeby zdawała wciąż egzamin z wiadomości historycznych, wymaga ażeby nie przekreślała dat i wiedziała dlaczego to stoi jakiś pomnik, lub co się stało na jakimś moście. A mostów i pomników jest tyle na świecie, że trzeba być nad-kobietą, ażeby je wszystkie spamiętać.

Myślę, że i od geografów należy się trzymać zdaleka, bo taki wie znowu, jak się każda rzeka nazywa. Geografowie są okropnie pozbawieni romantyzmu. Czyż to nie milej mówić o rzece: modra, srebrzysta, lub szafirowa, niż nazywać ją chrzestnym imieniem Mozy, Skaldy, Loary czy Adggy?

Kto wie, czy najmilszym towarzyszem podróży nie byłby człowiek, obdarzony zanikiem pamięci, któryby używał tylko takich terminów, jak „piękny zamek zwarjowanego króla“, albo „portret tej kupcowej włoskiej“, albo: „to jest widzi pani, rzeźba tego Włocha, co był ślepy na jedno oko“ lub też: „A tutaj mieszkała ta cesarzowa, która wymyśliła krynoliny“, zamiast zasypywać nas uczonemi wiadomościami z cinquecenta i quattrocenta i żonglować Rafaelami, Leonardami, Michałami Aniolami. Milszym niż ten nieznośny pedant, któryby pamiętał wszystkie daty, wszystkie wydarzenia, jednym słowem dawał nam na każdym kroku poznać swoją wyższość, a naszą nieuczoność.

Strzeżcie katedry są specjalnie admiirowane przez kobiety. Ich smukła linja przemawia do tych wszystkich Łojowniczek przeciwko oty-

łości, ich sędziwy wiek, którego całkiem nie poznać, wzbudza nieograniczony podziw płci pięknej.

Przypomina mi się owa anegdota o znanej z dowcipu księżnej Paulinie Metternich-Szandor. Kiedy wieszowano staruszcze osmdziesiątej rocznicy urodzin, odpowiedziała z westchnieniem: „To piękny wiek dla katedry, ale nie dla kobiety!“

Oglądając katedry, podczas kiedy przewodnik wymienia zawrotne cyfry: czterysta, pięćset, sześćset lat, kobiety kiwają głowami i mówią z odcieniem zazdrości: „A tak dobrze się zakonserwowała“.

Obok katedr, lubią także kobiety oglądać zamki, w których straszny Zamków takich niestety jest coraz mniej i sądzę, że powinno powstać towarzystwo akcyjne, mające na celu zaludnić duchami opustoszałe zamczyska. Zwiędając takie zamki, musi się koniecznie mieć jakieś męskie ramię w pobliżu, które na czas pochwyty mdlejącej ze strachu istoty.

Jazda okrętem ma również tę dobrą stronę, że daje wciąż okazje do poszukiwania męskiego ramienia. Z jednej ewentualności wpaść do się wciąż w drugą: od balwanów morskich do zwyczajnych. Oczywiście trzeba także być myślącym o tem, ażeby nie natrafić na pasażerów, podlegających morskiej chorobie.

Ale kiedy już tak jedziemy, musimy przyciecz gdzieś dojechać! Wszystkie niemal drogi prowadzą do Paryża i każda kobieta ma rzy, ażeby się tam dostać. Jego skrzące o światła bulwary neą więcej od najpiękniejszych krajobrazów, a wystawy sklepowe rywalizują skutecznie z wystawami obrazów największych mistrzów.

Przyjechawszy do Paryża, doznaje każda kobieta lekkiego rozczarowania. Dzieje się tu w myśl owej maksymy Juljusza Cezara, „że lepiej być pierwszym na wsi, niż ostatnim w Rzymie“. Jaki, nikt tu nie zwraca uwagi na jej toaletę? Żadna kobieta nie szeptem do dru-

giej: „Patrz, to ten kapelus z 75 złotych!“ Mężczyźni poświęcają co najwyżej trochę uwagi jej buziakowi i to nawet nie jest pewne, bo nie potrafi się tak pięknie spreparować, jak Paryżanka.

Na drugi dzień stwierdza piękna pani z zupełną konsternacją, że właściwie to jest całkiem niemodnie ubrana. Że nikt nie nosi tu tak krótkich lub tak długich sukien, że kapelus jej niema przepisanych rozmiarów, że suknie kwieciste się już opatrzyły, że na ulicy trzeba się ubrać ciemno i dystygownie.

Paryż staje się kamieniem probierczym do owego smaku każdej przyjeżdżającej tam kobiety. Tutaj zdaje swój egzamin elegancji. Jeżeli bowiem posiada prawdziwe jej wyczucie, to po kilku dniach będzie wyglądać, jak rodowita Paryżanka. Potrafi sobie przyswoić wszystkie odcienie szuku.

Zalutwiwszy tedy kwestję toalety, przebiegnie się sale Luwru, stwierdza, że „ta Mona Liza jest przereklamowana“, pokiwa głową nad brakiem linji Wenus miłośkiej, a potem rzuci się już niepodzielnie w wir zabawy. I wtedy także następuje rozczarowanie. Bo Paryż nie jest tak straszny, jak go malują, ani taki rozpustny, jak się po nim spodziewają. Okazuje się, że wszystkie music-halle i dancingi całego świata są do siebie podobne, że ludzie awiają się tak samo w Warszawie, jak w Paryżu, to znaczy wszędzie jdnako się nudzą.

Trzeba więc wyjechać z tego Paryża, zamienić go na jakąś modną plażę, lub na góry. Tu i tam przewaźnie pada deszcz. Prawdziwa rozpacz. Suknie mną się w kufkach, a piękna kobieta musi używać brązowego kremu i pudru, mających imitować opaleniznę. Siedzi więc otulona w futro i pisze kartkę do przyjaciółki: „Kochana Litko! Siedzę nad brzegiem morza i patrzę jak słońce igra na falach. Pogoda jest cudowna. Mój zielony trykot kąpielowy robi furorę. Zobacysz, jak się opalę. Chodzi tu za mną jakiś brunet, Arab,

czy Hiszpan, bo go ani trochę nie rozumiem. Wogóle mam szalone powodzenie. Z przykrością myślę o powrocie do domu“.

W rzeczywistości, zielony trykot nie znalazł jeszcze chrztu morskiego. Arab sprzedaje dywaniki i paciorki, piękna pani głodzi się, bo jej kuchnia nie smakuje i myśli z rozkoszą o chwili, kiedy się wyciągnie we własnym wygodnym łóżku, Kasia robi na obiad naleśniki z konfiturą, a przyjaciółki zbiegną się ją powitać i opowiedzą wszystkie najnowsze plotki.

Zanim to nastąpi, czeka piękna podróżniczkę jeszcze walna przepawa z urzędnikami celnymi na granicy Czeszy się już na to z góry, jak wielki wódz na bitwę. Przyjmuje ich przybycie z nieugiętym czołem. Otwiera szeroko zdziwione oczy i walizki Pozwala im przerzucić jedwabie i koronki. Potem mówi z ironicznym uśmiechem: „Pan twierdzi, że to jest szal hiszpański? Przecież to zwyciężna huculska zapaska, którą zabrałam, ażeby mieć ze sobą coś ojczystego! Ta suknia? Ależ jest tak zniszczona. że zaraz po przyjeździe podaruję ją służącej! Te koronki? Mam je jeszcze po babce, mogą panu dać słowo! Że też wy mężczyźni tak mało się na tem rozumiecie“.

I ta dyskusja trwa tak długo, aż znużony urzędnik daje za wygraną i opuszcza przedział. Wtedy zwycięska kobieta wodzi triumfującym wrokiem po współpasażerach i zaczyna wyliczać im wszystkie wizerunki przez siebie zakupy, ciesząc się z porażki tych naiwnych.

A kiedy powróci już w domowe progi, historyka rewizji granicznej zajmie w jej opowiadaniu więcej miejsca, niżeli wszystkie zamki, katedry i muzea wraz ze swoimi arcydziełami szkoły włoskiej, czy flamandzkiej. Bo w tym jednym wypadku okazała się wielką, a tam w świecie czuła się taką małą...



mików — ale stosunkowo dość rzadko, gdyż była to tajemnica rządowa. Nie znaczy to jednak, iżby sam wynalazek nie znajdował zastosowania.

Po wynalezieniu prochu w r. 1380, zarzucano na pewien czas myśl wojny gazowej, gdyż tamtym środkiem osiągnano lepsze rezultaty. Myśl ta jednak wróciła. I znowu znalazły zastosowanie starożytne strategematy, oczywiście w odnowionej i ulepszonej formie. I tak w pierwszej połowie XV stulecia znajdujemy znowu szereg przepisów, na sporządzenie

dzenie duszących dymów, kul, wydających woń, zatruwającą powietrze, a używanych do zatrucia nieprzyjaciela w podkopach. ręcznych granatów śmiertelnych i dymiących. Cała ówczesna literatura wojskowa jest przepelniona przepisami na ich sporządzenie i używanie. A zawsze zdążają do jednego celu, zawierają w sobie jedną ideę. I ta idea, wsparta gigantycznym rozwojem techniki i wielkiego przemysłu chemicznego w ubiegłej wojnie światowej, odegrała tak groźną w skutkach rolę czynną.

## W szponach fryzjera.

Ludzie kontrastów. — Ulubieniec losu i... kobiet. — Dawniej to samo. Typy gości fryzjerni. — „Figaro“.

Kraków, 7 września.

Mało jest kategorii pracowników, któreby się tak wyróżniały i miały takie charakterystyczne oblicze, jak właśnie fryzjerzy. Fry-



U golarza dziesiąt.

zjer, istota pośrednia pomiędzy rzemieślnikiem i artystą, człowiekiem poważnym a figlarnym wesolkiem, specjalistą od włosów a lekarzem, poważnym ojcem rodziny a niebieskim ptakiem, to człowiek, którego się tak z daleka poznaje, jak się poznaje profesora, dziennikarza i dyplomata.

Cóż to za ciekawy teren obserwacji w salonie fryzjerskim! Jak tam kwitną plotki. Jak wszyscy czują się jakoś swobodnie, nie zażenowani i ze zdumiewającą łatwością wynurzają się ze swych intymnych wiadomości. Ileż wiedzy o ludziach i o człowieku zdobywa fryzjer! Jakimże jest psychologiem! Jak umie on obsługiwać gości i rozdzielać ich pomiędzy swoich wasali — fryzjerczyków. Dla każdego ma uśmiech, dowcip, powiedzonko! Tak było przed wojną. Cóż dopiero teraz, gdy fryzjerem przybyła obfitość, dobrze płacąca choć kapryśna klientela damska!

A w każdym salonie sztab manikurzystek i masażystek, które swoją drogą zasługują na osobne studjum. Nigdy z pewnością fryzjer nie był tak ważną osobistością, jak teraz,

gdy dżentelmen usuwa drugorzędne cochy męskie, a szanująca się garsonka co drugi dzień nawiedza rozpieszczonego pochwałami i napiwkami p. Stanisława czy Kazimierza. Fryzjer stał się prosto nieodzownym doradcą, pomocnikiem, uzupełnieniem i dopełnieniem nowożytnego mężczyzny.

I dawniej również mu się dobrze działo. Wspomnijmy tylko czasy rokoka, kiedy dama bez umiejętności zaczesanej i sporządzonej przez fryzjera wieży-peruki, była istotą godną pożałowania, ośmieszoną i nie dopuszczaną do towarzystwa; kiedy to mężczyzna, choćby o zarości najbujniejszego Papuasa, musiał na głowę wkładać upudrowaną perukę. W przeciwnym razie był barbarzyńcą, proletariuszem, chudeuszem. Trzeba tylko dodać, że w epoce rokoka damy rzadziej udawały się

do fryzjera, gdyż stworzenie peruki to była praca kilku dni, więc musiała ona też jakiś czas przetrwać. Na noc zdejmowano ją i ustawiano na specjalnym podparciu, ażeby dnia następnego włożyć ten potworny włosiany pokrowiec.

Przy nowym pudrowaniu peruki trzeba było nałożyć na twarz rodzaj maski, ażeby uchronić nos i oczy od chmury pudru. Dzisiejsze golenie, wystawiające cierpliwość człowieka nieraz na poważną próbę, jest wobec tego drobnośką.

Czekanie u fryzjera zasługuje na szczególne omówienie, można bowiem w tym czasie robić studia fizjognomiczne. Tu cierpliwie siedzi flegmatyk z wetkniętym nosem w „Światowida“, który skrupulatnie już ogląda trzy kwadransy. Tu prychnie się grzebień, a zdaje się, że się zaraz rzuci albo po wyjściu kogoś, albo pochwyty brzytwę w celach niezupełnie pokojowych. Tu znowu śpi jakiś dobroduszny poczciwiec, może zadowolony, że musi tak długo czekać. Jakiś jegomość, któremu bardzo pilno, upada jak bomba, rzuca kapelusz i palto na ręce służącego i nic sobie z tego nie robi, że jest 20 z rzędu. On musi „już, już“ być ogolony.

Niema fryzjera, któryby nie uprawiał ubocznego zawodu. Najskromniejszy bodaj wetknie swemu klientowi niezawodzący środek na porost włosów, najrozkoszniejszą wodę kolońską, nie tamiącą się grzebień i obustronne lusterko. Bardziej wielostronnymi są fryzjerzy małomiasteczkowi i podmiejscy. Taki to jest przedewszystkiem cyrulikiem, omal że doktorem. Na framudze okna wystawowego stoi duża buła z kilkudziesięciu niezawodnymi pijawkami, do których stawiania jest gotów każdej chwili; każda pijawka z gwarancją. Kto się boi pijawek, ma do dyspozycji bańki. W razie potrzeby fryzjer wyrzywa zęby. Ma znakomity środek na migrenę, jest pośrednikiem małżeństw, oraz kupna i sprzedaży wszelkich innych nieruchomości. Wie wszystko, intrzyguje, pomaga, jest centralą wszystkich wywiadów.

Taki to fryzjer doczekał się uwiecznienia w „Cyruliku sewilskim“, typ jeszcze i dzisiaj niejednokrotnie obserwowany. Słynny „Figaro“ zdolny do wszystkiego, szczwany, bez skrupułów, oto nieśmiertelna postać i równocześnie najpiękniejszy pomnik, jaki francuski twórca postawił fryzjerom.



W czasie pudrowania peruki w XVIII w. zastawiano sobie przed opyleniem suknię płótnem, a twarz kapturkiem papierowym. — Według współczesnego miedziorytu.



U fryzjera w dzielnicy artystycznej Paryża (1850 r.). Według rysunku H. Daumiera.



Golenie pod golem niebem na wsi w 1830 r. Według współczesnego sztuchu.



Fryzjer damski, fryzujący parukę damską na manekinie. Według sztuchu współczesnego z 1810 r.

KAZIMIERZ KALINOWSKI.

## Poeta dziennikarzem

(Ze wspomnień osobistych).

Stosunki w prasie polskiej przed 40 laty. — Jak redagowało się wtedy gazetę w Galicji. — Kasprowicz w redakcji. — Genjusz w katorze.

Jeden z subtelnych poetów naszych, szerzej publiczności znany raczej jako redaktor, zwłaszcza ze świetnych krytyk literackich w odcinku poczytnego dziennika, a przez kolegów z prasy zasłużenie wyróżniany godnością prezesa syndykatu — napisał niedawno interesujący feljeton o dziennikarstwie, jako jednym z działów literatury; okazję zaś do tego dała mu wiadomość z zagranicy o powołaniu do akademii literackiej po raz pierwszy jakiegoś wybitnego publicysty.

Niema tu potrzeby dowodzić, że nie każdy utwór, choćby najlepszego redaktora należy do literatury, ani że nie każdy dziennikarz jest literatem. Ongi żaden historyk literatury przyznać nie chciał, by można wyjął kowo pewne prace dziennikarskie traktować jako dzieła literackie. Później znowu toczyły się na ten temat szerokie dyskusje między krytykami. Wreszcie zaczęli się o to spierać sami dziennikarze. Była taka dysputa w Warszawie, gdy powstawało Towarzystwo Literatów i Dziennikarzy. Ale jeszcze dawniej i jeszcze gorętsze w tym przedmiocie rozprawy pamiętam we Lwowie, gdy tam za wiązywało się pierwsze nasze zrzeszenie zawodowe, które na długo wyprzedziło dzisiejsze związki literackie i syndykaty prasowe. Z tych, co około realizacji tej idei krążyli

się wtedy, żyje już tylko kilku: Bronisław Laskowicki, Stanisław Rossowski, Michał Rolle, Ignacy Nikorowicz, ale Towarzystwo dotąd przetrwało.

Jakaż zmiana pojęć zapanowała w tej dziedzinie w ciągu lat prawie czterdziestu! Iluż od owego czasu literatów wślpiło na służbę do prasy, ilu poetów poszło do miłna redakcyjnego i talent artystyczny zatraciło w warsztacie gazety! A iluż znowu dziennikarzy weszło właśnie do literatury i nikt im nie zaprzeczy należnego w niej miejsca. Fakt jednak faktem zostanie, że biurko redaktorskie jest dla literata zasadzką niebezpieczną, w której najłatwiej stepić pióro beletrysty. Ale pod tym właśnie względem w dziejach prasy polskiej zachodzą ogromne różnice dzielnicowe, które zataryły się zupełnie dopiero w latach ostatnich. I na nie musi się zwrócić uwagę, gdy się wspomniany temat rozważa. Zdać sobie sprawę z tych różnic może zaś tylko ten, kto — podobnie jak ja miałem sposobność — pracował w prasie lwowskiej i krakowskiej naprzemiennie z warszawską. Gaźel zaboru pruskiego nie biorę pod uwagę z tego względu, że w nich dawniej naogół pracowali literaci.

Tymczasem właśnie literaci w Galicji, podobnie jak w zaborze rosyjskim, nie mogli się z pióra utrzymać inaczej, zarabiali po redakcjach. I tu występują te różnice. Oto pod czas gdy literat w Warszawie mógł dawniej od biedy żyć z honorarjów, pisując różnorodnych tygodników i dzienników, nawet kilku jednocześnie, a nie wstępując na stale do kuźni redakcyjnej — to w prasie galicyjskiej było odwrotnie. Tygodniki nie istniały wcale, dzienników wychodziło po kilka we Lwowie i Krakowie, ale nikły nakład i mizerne środki pozwalały każdemu z nich na utrzymanie stałego personelu redakcyjnego, złożonego z kilku osób, pobierających pensje

miesięczne bardzo liche; niekiedy redakcje opłacały jeszcze paru korespondentów, ale już żadne z pism nie mogło sobie pozwolić na wydatek, stanowiący dużą rubrykę, jak honorarja od wiersza druku dla współpracowników przygodnych — tych właśnie, którzy w spokoju domowym, a nie w gorącej warsztacie redakcyjno-drukarnianego, mogą pisywać artykuły i feljetyony najlepsze.

Wobec takich stosunków, literat luzem chodzący, co w Warszawie bywało zjawiskiem normalnym, był nie do pomyślenia we Lwowie czy Krakowie przed laty czterdziestu, tembardziej, że do kilku miejscowych pism naraz nie można było pisywać, każdy dziennik bowiem należał do innego stronnictwa politycznego, a pobyt jednocześnie w dwu wrogich sobie obozach był choćby dla autora artykułów ściśle literackich niemożliwy. To też zostawało mu do wyboru: albo wstąpić do jakiegoś urzędu, co w pocie budziło wstręt i lęk o zmarnowanie talentu (a przykłady odstrasające mnożyły się) albo wyemigrować za kordon do Warszawy. Śladem tych szczęśliwców, o których po kawiarniach krążyły anegdoty, jakie to ich tam spotkało powodzenie. Ale nie każdy mógł przenieść się do Królestwa, niejednego trzymały w Galicji stosunki rodzinne, finansowe — i taki wstępował do redakcji dziennika, tam, gdzie mu się udało znaleźć miejsce, a niekiedy nie tam, gdzieby pragnęła sympatja ze względów polityczno-społecznych czy personalnych. Na szczęście — dzięki rosnącemu wpływowi wspomnianego zrzeszenia koleżeńskiego — przejście z czasem z jednej redakcji do drugiej n. p. na tym samym gruncie lwowskim było możliwe dla pracownika, który zbyt nie zaangażował politycznie.

A teraz kolej powiedzieć, jak myślała redakcja dziennika galicyjskiego na owe czasy, a więc z końcem ubiegłego stulecia. Dziś

poza armją współpracowników, nadsyłających stale materiały z poza redakcji — stanowiła ona sama sztab liczący specjalistów, z których każdy zajmuje się tylko swoim działem. Zresztą pomocą zewnętrzną są nie tylko korespondenci i reporterzy, ale całe agencje, jest telefon międzymiastowy i radio. Jest przede wszystkim brak kordonów i stolica państwa w Warszawie, nie w Wiedniu. Tymczasem za owych dawnych czasów, kiedy redaktor robotę numeru zaczynał od postarania się o tyle centów, ile zamierzał w tym dniu drukować egzemplarzy, bo wszak każdy arkusz papieru do druku dziennika musiał być najprzód w urzędzie opatrzony centowym stemplem; a numer zamykał w drukarni pośpiesznym tłumaczeniem na polskie telegramów, przychodzących z Wiednia po niemiecku.

Otóż w owych czasach dziennikarz galicyjski musiał być w obrębie swego zawodu przysłowiową „panną do wszystkiego“.

Redaktor i paru jego współpracowników stałych musieli tak znać się na wszystkim, że każdy z nich mógł w razie potrzeby cały numer sam redagować (obojetnie jakim sposobem), od artykułu wstępnego począwszy, poprzez wszelkie przeglądy, listy i feljetyony, recenzje i sprawozdania, kroniki i rozmaitości, aż do telegramów i ostatnich notulek giełdowych. I tak bywało prawie z reguły, bo właśnie redaktor zasiadał godzinami na jakimś politycznym czy innym zebraniu obywatelskim; drugi członek redakcji tracił pół dnia jako sprawozdawca na jakimś zjeździe lub procesie; trzeci omawiał sprawę finansową dziennika z jakimś ważnym gościem w handelu; no i ten tylko, co pozostał w redakcji przy biurku, musiał sobie sam poradzić. Już ci nie żyją, którzy nam taką dawali szkołę praktyki dziennikarskiej, dość, że nas świetnie tej sztuki nauczyli, iż numer zaw-



Kpt. M. B. LEPECKI (Warszawa).

## Polskie tereny kolonizacyjne w stanie Espirito Santo w Brazylii.<sup>1)</sup>

Obszar, klimat, gleba i lasy kolonji. — Zwierzyna. — Ludność. — Nucleo i pierwsi osadnicy polscy.

Kraków, 7 września.

Polskie tereny kolonizacyjne<sup>2)</sup> leżą w północnej, lesistej, części stanu nad górnymi biegami lewych dopływów rzeki Doce, oraz nad górnymi biegami prawych dopływów rzeki Sao Matheus. Centrum kolonji, czyli t. zw. nucleo, znajduje się przy ujściu strumienia Rio Claro do strumienia Sao Jose.

Tereny te, mierzące 50 tys. ha czyli 500 km<sup>2</sup> powierzchni, obejmują obszar pagórkowaty, wzniesiony 150—250 m. ponad poziom

porze suchej wysycha. Ta rzadkość sieci wodnej musi spowodować w przyszłości osadzenie kolonistów na działkach, nie posiadających w swoich granicach strumieni, co rzadko spotykamy w dotychczasowej kolonizacji brazylijskiej.

Klimat terenów koncesyjnych jest stosunkowo umiarkowany i niedokuczliwy. Pomimo wysokich temperatur, a niewątpliwie dzięki



Jaguar, drapieżny kot Ameryki Połudn.

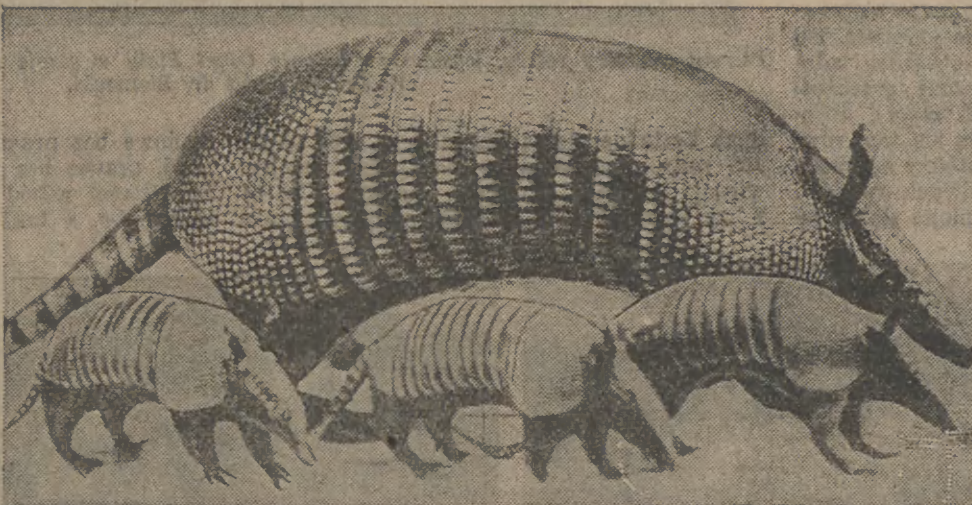
tytoniu, kartofli (na terenach położonych wysoko), a także: ananasów, bananów, pomarańcz, gojaba, kokosów, cytryn, mamonów czyli drzew melonowych, melonów, arbuzów,

czworonogich i skrzydlatych mieszkańców, wydaje się mieszkańcom chłodnych krain północnych — prawdziwym rajem. Niestety, poza piękną i urokiem lasu dziewiętego kryje się jego zatruty dech w postaci chorobotwórczych bakterii i jadowitych żmij.

Z drzew wysokopiennych, stanowiących zasadę puszczy należy wymienić: peroba'ę (*Aspidosperma polyneuron*), której rozróżniają aż 8 odmian, jacaranda czyli mahoń (*Dalbergia nigra*), kanela (*Nectandra amara*), cedr (*Cedrela brasiliensis*) — nie mający wprawdzie nic wspólnego z cedrem Starego Świata, ale dostarczający doskonałego materiału budulcowego; pau rozo (*Peliogyne Le Coitei*); vinhatico (*Emterclobium ellipticum Benth*), stanowiący obok peroby i mahoni najwięcej poszukiwany dzisiaj w Espirito Santo materiał drzewny, a ponadto: angelim (*Hymenolobium petraeum*), Goncalo Alves (*Astronium fraxinifolium*), pequão (*Caryocar brasiliensis*) etc., etc.

Zwierzostan jest bogaty zarówno w gatunki, jak i ilość. Znajdujemy tam wszystkie zwierzęta strefy tropikalnej i subtropikalnej.

Ilościowo najwięcej znajdujemy dzików, a w szczególności ich dwóch odmian: *Dicotyles labiatus* i *Dicotyles torquatus*, które żyją stadami po kilkadziesiąt sztuk. Nad brzegami strumieni spotykamy wiele kapiarów<sup>3)</sup> (*Hydrochoerus capybara*), czyli wodoświnek pospolitych w Ameryce południowej od Parany aż do północnych prowincji argentyńskich. Również przy strumieniach spotyka się



Samica mrówkójada-pancernika z młodem, z Ameryki Połudn.



Puma, drapieżny zwierz Ameryki Południowej.

morza. Jako położone w pobliżu źródlisk, nie posiadają rzek większych. Zraszają je jedynie male strumienie, z których wiele w

<sup>1)</sup> Artykuł niniejszy jest skrótem obszerniej pracy monograficznej Sz. Autora, która p. t.: „Opis stanu Espirito Santo“ ukaże się na półkach księgarskich w zimie.

<sup>2)</sup> Spółka z o. o. pod nazwą Tow. Kolonizacyjne w Warszawie, na której czele stoi znany działacz na polu pracy emigracyjnej, b. wicemin. Reform Roln. p. Gilczyński, oraz p. hr. Jezierski właściciel majątku, uzyskała w r. 1928 bezpłatną koncesję terenową (50 tys. ha) od rządu stanu Espirito Santo z obowiązkiem osadzenia na niej 1.800 rodzin polskich. Spółka przystąpiła do realizowania planu osadniczego, zatwierdzonego przez Urząd Emigracyjny i pana Min. Pracy i Opieki Społecznej, w październiku r. ub. Wszystkie prace związane z tą akcją, jak i zarząd kolonji, spoczywają w rękach polskich. Władze centralne mieszczą się w Warszawie, a na terenie Brazylii działa specjalny delegat Towarzystwa w Rio de Janeiro, oraz administrator terenów. Kolonja została nazwana Agula Biała, co w języku portugalskim oznacza: Orzeł Biały. Dotychczas wysłano tam około pięćset osób.

Oprócz terenów w Espirito Santo Towarzystwo Kolonizacyjne uzyskało koncesję na 50 tys. ha od rządu sąsiedniego stanu Minas Geraes, a oprócz tego zadatkowało wielki obiekt kolonizacyjny w Paranie, mierzący ok. 70 tys. ha.



Ocelot, drapieżny kot Ameryki Połudn.

suchości powietrza, praca fizyczna w ich obrębie jest dla mieszkańca Europy środkowej możliwa. Samopoczucie nowo przybyłych kolonistów polskich jest dobre. Upały wydają im się małą przeszkodą w pracy.

Gleba (czerwona) jest urodzajna, o czem także świadczy bardzo bujna roślinność. Opady atmosferyczne — wystarczające dla rolnictwa. Polskie tereny kolonizacyjne nadają się w szczególności do plantowania kawy, kakao, trzciny cukrowej, rycynusa, bawełny, mandjoki (*Manihot utilisima*), kukurydzy, jaskółki, orzeszków ziemnych, batatów, ryżu,

mang (*Mangifera indica*), fig etc. Udaje się też wiele warzyw, znanych w Europie.

Całą koncesję porasta zwarty las dziewięciz, tropikalny, składający się jakby z dwóch części: z drzew wysokopiennych, rozstawionych stosunkowo rzadko, oraz z podszycia wraz z wielką ilością drzew cienkich i niezbyt wysokich oraz ljan. Drugim charakterystycznym rysem tego lasu jest obfitość palm, a w podszyciu obecność mnóstwa roślin o liściach szerokich, mięsistych.

Las ten wiecznie zielony, wiecznie kwitnący, przepelniony tysiącami głosami swoich

wydry (*Lutra brasiliensis*) i raposy. Z rodziny kotów mamy do zanotowania: jaguary (*Felis onca*) znane pod nazwą onca pintada i onca preta, groźne dla zwierząt domowych i ludzi; oceloty (*Felis pardalis*), znane w całej Brazylii pod nazwą jaguaterka (jaguaterica), polujące zawzięcie na drobne zwierzęta; pumy (*Felis concolor*), nazywane w Espirito Santo onca vermelha, czyli jaguar czerwony. Ponadto, znajduje się tam jeszcze kilka odmian kotów mniejszych, znanych w

<sup>3)</sup> W Ameryce hiszpańskiej: carpincho, rousoco.



Samica tapira z młodem, z Ameryki Połudn.

szę na swoją godzinę wyszedł, bez względu na to, kto był w redakcji, i wyszedł pełen nowin i rzeczy interesujących.

Czy dla oczu, dla płuc, dla nerwów, takie piekielko redakcyjne mogło być zakładem leczniczym; albo czy dla talentów literackich, dla beletrystów, dla liryków i dramatyków, dla mógających swego „ja“ silnie indywidualnego zmieścić w koszarach gazetowych — nie stawał się katownią taki młyn codzienny, trwający latami — na to odpowiedzą dzieje dziennikarstwa dawnej Galicji, które w swych trybach zmażdżyło niestety kilkunastu subtelnym poetów. Cudem żyw z tego młyna wyszedł — dlatego, że miał moc geniusza — Jan Kasprówic, któremu dziś pierwszy pomnik odsłoniła rodaj w jego ziemi kujawskiej, a któremu z tej okazji, chcąc poświęcić wspomnienie osobiste z czasów, gdy i on musiał być dziennikarzem. Starałem się powyżej odmalować to, na jakim stanie się dopiero zrozumiałem szamotanie się wielkiego poety w wieżach redakcyjnych.

A właśnie takiego Kasprówicza znałem najbliższemu Nie w jednym kolegowaliśmy dzienniku w lwowskiej prasie, bo on dopiero po moim przeniesieniu się do Warszawy wstąpił do „Słowa Polskiego“, zresztą, gdy ono już przeszło w zgola inne ręce, niż za mego pobytu, a rychło je opuścił dla katedry uniwersyteckiej. Tymczasem przeważną część swego życia we Lwowie, bo kilkanaście pierwszych lat bez przerwy, związał Kasprówic z radykałnym „Kurjerem Lwowskim“ Henryka Rewakowicza i Bolesława Wysłoucha gdzie w taki sposób, jak powyżej opisałem, pracował w redakcji z Zygmuntem Frylingiem i Iwanem Franką a jego tam codziennie szereg godzin absorbująca robota całymi latami nie miała nic wspólnego ani z poezją wielkiego twórcy „Hymnów“, ani z znawstwem literatury świata przyszłego prof. wszechnicy.

I pomyśleć, że w takich warunkach, zabijających najsilniejsze talenty, geniusz Kasprówicza stworzył wszystkie najslawniejsze swoje poematy. Że zdawał sobie wówczas sprawę z tego, w jak nieodpowiednim środowisku zbiegają mu na niestosownym zajęciu lata najwyższych wlotów poetyckich — o tem świadczyć może rozmowa, jaką z nim miałem w roku — o ile się nie mylę — 1898 we Lwowie. Było to któregoś wieczora w kawiarni, gdzie siedziałem na poufnej rozmowie z serdecznym przyjacielem, a głośnym później w Polsce publicystą Antonim Chołonińskim. Przy padkiem zaszedł tam Kasprówic, wracający w roli sprawozdawcy „Kurjera“ z jakiegoś zgromadzenia. Był podniecony, nawet wzburony. Kiedy przysiadł się do naszego stołu, Kasprówic zaczął mówić o swoim życiu i o tym, jak się czuł, że ten brak w jego wierszu gładkości, że ta brylowatość jego poezji, przypominająca raczej ciosy granitu, młotem z gruba wykuwane, niż dłutem rzeźbiarza obrabiane; że to wszystko — jej zdaniem — zapowiadające w nim dopiero jakiś nieokleśnany wybuch rozhukanego żywiołu, znamionować musi chyba cechę genialności. Na udowodnienie przytaczała z dziejów literatury i sztuki przykłady, właśnie albo jak w tym wypadku, powolnego w ciągu długich lat rozwoju wielkich talentów, albo objawienia się ich odrazu w całej pełni zaraz w pierwszej fazie twórczości.

Wiedział wprawdzie Kasprówic, że w recenzjach z jego poezji świetną wróżyła mu przyszłość pierwsza właśnie Marja Wysłouchowa i czcił ją jak wszyscy, którzyśmy bliżej znali tę nieodżałowaną działaczkę narodową. Jednakże bardzo uderzyło go to, co mu teraz po latach z jej ust powtarzałem. Słuchał, brwi ściągając w coraz większym zamyśleniu i szarpając fontań krawata. A kiedy po tej rozmowie miał odejść od nas, stał jeszcze

poetów, którym skrzydła obtarły te kamienie młyńskie po różnych redakcjach.

— Przy takiej taczce — powtarzał, ucpiwszy się myślą owego porównania — żaden talent twórczy nie poradzi sobie... Chyba geniusz!

A kiedy padło to słowo — cisza między nami nastąpiła. Po chwili przerwałem ją, zaczawszy opowiadać, jak to na szereg lat przedtem, gdy w „Kurjerze Lwowskim“ drukował on pierwsze utwory poetyckie, rozmawiałem o nich często z Marją Wysłouchową (żoną redaktora Bolesława); jak to ona z właściwym sobie entuzjazmem, którym w dysputach patriotycznych wśród grona konspiracyjnej młodzieży — tak nas umiała porwać, jej zapewnienie, że właśnie przed Kasprówiczem sława się ściela; że to najprawdziwszy poeta, jakiego lud nasz wydał z siebie; że ten brak w jego wierszu gładkości, że ta brylowatość jego poezji, przypominająca raczej ciosy granitu, młotem z gruba wykuwane, niż dłutem rzeźbiarza obrabiane; że to wszystko — jej zdaniem — zapowiadające w nim dopiero jakiś nieokleśnany wybuch rozhukanego żywiołu, znamionować musi chyba cechę genialności. Na udowodnienie przytaczała z dziejów literatury i sztuki przykłady, właśnie albo jak w tym wypadku, powolnego w ciągu długich lat rozwoju wielkich talentów, albo objawienia się ich odrazu w całej pełni zaraz w pierwszej fazie twórczości.

Wiedział wprawdzie Kasprówic, że w recenzjach z jego poezji świetną wróżyła mu przyszłość pierwsza właśnie Marja Wysłouchowa i czcił ją jak wszyscy, którzyśmy bliżej znali tę nieodżałowaną działaczkę narodową. Jednakże bardzo uderzyło go to, co mu teraz po latach z jej ust powtarzałem. Słuchał, brwi ściągając w coraz większym zamyśleniu i szarpając fontań krawata. A kiedy po tej rozmowie miał odejść od nas, stał jeszcze

długo w zadumie milczący i w przeciwieństwie do poprzedniego ożywienia dziwnie melancholijny.

Ale kiedy Kasprówic z charakterystycznym kosmykiem włosów na czole, nasadziwszy na tył głowy miękki kapelusz czarny z szeroką kresą, stał w pelerynie, związując mu z ramion barczystych przed naszym stolikiem, wciąż na odchodnym, a w miejscu czemś przytrzymywany, Chołoniński, z tak zwykłym u niego do końca życia uśmiechem żartobliwym, owzał się nagle po włosku, przytaczając słowa, które w ćwierć wieku potem, tuż po śmierci Kasprówicza, położył komitet na czele odezwy, wzywającej naród do uczczenia znakomitego poety: „Onorate l'altissimo poeta!“ Na te słowa zerwał z głowy kapelusz i nisko się nam ukłonił. Chołoniński zaś, przybierając ton już całkiem serjo, rzekł jeszcze z naciskiem:

— Żegnaj nam zatem... wielki poeol!

— Może byłbyś nim — rzucił Kasprówic na odchodnym gorzko — może... gdyby mnie życie nie przykuło do taczki...

Po dziesięciu latach i po zgonie już autora „Księżki ubogich“, gdy to znowu rozważałem, widzę, że Wysłouchowa miała słusność, przeczuwając, iż ten chłop z nad Gopla kiedyś jak wulkan z siebie wyrzuci, w potężnych niby kosmicznych organach hymnach, wstępek ogień żalu zakrzepły przez wieki pod skorupą duszy ludzkiej, i że nie omyliła się przewidując w nim geniusza. Ponieważ jednak ta sama „katorgia“, z którą potrafił poradzić sobie geniusz Kasprówicza, zetrze na proch stu innych poetów, należałoby, dla uczczenia twórcy „Hymnów“ zrobić w Polsce wszystko, by prawdziwy poeta nie musiał zaprzęgać się do niebezpiecznej „taczki“ dziennikarskiej.



gwarze ludowej pod ogólnym mianem *gatoe do matto* czyli *koty leśne*.

Z innych należy wymienić: rzadkie już *tapiry* (*Tapirus americanus*), *sarny*, *mrówkojady* (*Tamandua*, *Ceodactyla*, *Tjubata*), *paki* (*Coelogenys paca*), rodzaj zajączków czyli *cotias* (*Dasyproctae*), ryjkonosy czyli *coati* (*Nasua socialis*), *pancerniki* czyli *tatus* (*Dasyppus*) oraz szereg odmian *matp* z wyjątkiem czyli *bugio* i brodacem czyli *barbado'em* na czele. W bliskości ścieżek i dróg spotyka się wielkie ilości *jaszczurów*, długości około metrowej.

Z *ptaków łownych*, o mięsie smacznym, zasługują na największą uwagę: *jacutinga*, *mutum* i *makuku* — ptaki kurowate wielkości średniego indyka, oraz kilka odmian ptaków mniejszych, również kurowatych, wielkości kuropatw lub przepiórek. Bodaj najpospolitszymi ptakami są *papugi*. Z drapieżnych spotyka się najczęściej niewielkiego *jastrzębia*, czyli *gaviao'na*.

Groźniejszym znacznie od *jaguara* nieprzyjacielem są dla człowieka *węże jadowite*. Do najpospolitszych a jednocześnie bardzo jadowitych należą: *żararaki* (*jararaca*), *grzechotniki*, *groźnice nieme* (*Lachesis muta*), *koralówki* i kilka innych. Znajdują się tam również *jadowite pająki*, z *ptasznikiem* na czele. Nadto żyje tam wiele dokuczliwych owadów. Ziemię koncesyjną są zaludnione słabo, je-



Pierwsi osadnicy polscy, wysłani na kolonję Orzeł Biały w stanie Espirito Santo w Brazylii. W środku siedzi dr. Biernacki.

dnak bezładne nie są. Mieszka na nich około 100 rodzin brazylijskich, co stanowi, niewiele więcej, jednego człowieka na km<sup>2</sup>. Są to t. zw. *intruzi*, czyli ludzie zajmujący grunta

rządowe bez prawnego tytułu własności. Intruzi, prawie bez wyjątku, są *mieszkańcami*. Spotykamy wśród nich *mulatów*, *metysów* i *murzynów*, a także *mieszkańców*, powstałych

z krzyżowania rasy czerwonej i czarnej. Rodzin o czystej krwi „białej” niema bodaj ani jednej.

Indian na terenach niema.

Na całej przestrzeni, oddanej dla kolonizacji polskiej, nie istnieje ani jeden posterunek policji, niemniej jednak nie słuchać tam zupełnie o rabunkach, względnie kradzieżach. Najbliżsi Indianie znajdują się w rezerwacie nad rzeką *Pancas*, w połowie drogi między *Agua Branca* i najbliższą stacją kolejową *Collatina*, w miejscowości *Aldeamento dos Indios*. Mieszka ich tam ok. 50 osób. Są to ludzie spokojni.

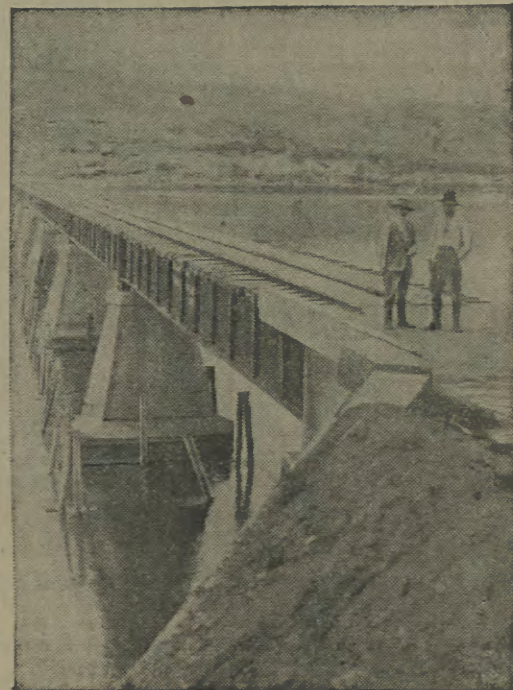
*Nucleo* położone jest malowniczo. Budynki zostały wzniesione na wzgórzu, opadającym z jednej strony ku rzece *Rio Claro*, z dwóch zaś ku *San Jose*. Osady pierwszych kolonistów, przybyłych w październiku 1929 roku zostały utworzone nad dolnym biegiem rzeki *Rio Claro* po obu jej stronach, oraz nad *San Jose*, w dół od *nucleo*. Podczas mojej bytności (luty 1930) było działek obsadzonych 16. Ponadto, jedna rodzina miała być osadzona w połowie drogi między *Agua Branca* i *Aldeamento dos Indos*. Częścią rodziny te już się pobudowały wtedy oraz uprawiały rolę jednak posucha zniszczyła zasiewy ryżu i kukurydzy.



Widok ogólny na t. zw. *nucleo* czyli środek kolonji polskiej w stanie Espirito Santo w Brazylii.



Dom polskiego kolonisty w puszczy Espirito Santo w Brazylii.



Most na rzece Doce pod Collatina w stanie Espirito Santo w Brazylii.

## ANEGDOTY CIEKAWY.

### DICKENS W RZYMIE.

(J. B.) W czasie swego pobytu w Rzymie, *Karol Dickens*, jako młody poeta zwiedzał prawie każdego wieczora *Colloseum*, by podziwiać piękno architektury rzymskiej. Przechadki swe odbywał zazwyczaj samotnie, napawając się do późna czarem włoskiej no-

cy. Pewnego wieczoru spostrzegł w zakątku amfiteatru mężczyznę, otulonego w czarny płaszcz. Tajemniczo nieznajomy przeszedł szybko mimo naszego poety, potrącając go przytem nieznacznie. Wszystkie legendy o włoskich bandytach i złodziejach zawirowały Dickensowi w głowie. Błyskawicznie sięgnął ręką do kieszeni, a spostrzegłszy brak zegarka, puścił się w pogoń za szybko oddalającym się mężczyzną. Posiadając, zwyczajem angielskim, bardzo skromny zapas obcych języków, wykrzykuje rozgłośnie jedno słowo: „Orollo-

gio, orologio!” (zegarek, zegarek). Nieznajomy, czując przewagę Dickensa, po krótkiej walce wyjął zegarek z kieszeni i szybko znikł za węglem ulicy. Jakież było zdumienie Dickensa, gdy po powrocie do domu spostrzegł swój zegarek na kominku. Natychmiast udaje się na policję, by oddać kosztowny zegarek rzekomemu złodziejowi, którym był wybitny arystokrata angielski i którego spotkał na policji, skarżącemu się na wyrafinowanego bandytę włoskiego.

### SFINKS PRZEMÓWIE.

(r) Sławna gwiazda Komedji Francuskiej w Paryżu, nieśmiertelna piękność *Cecile Sorel*, odwiedziła przed niedawnym czasem Egipt, a przy tej sposobności złożyła wizytę i Sflinkswi. „Boska” *Cecile* stanęła u stóp kamiennego kolosu, sama jak tragiczna statua jednej z bohaterki, grywanej przez artystkę od pół wieku, a z piersi jej wypłynęły słowa nabrzmiałe modlitewną prośbą.

„O Sflinksiel Przemów do mnie! Zdradz mi

## Wśród nowych książek.

Kraków, 7 września.

*Mieczysław Braun*, SYGNAŁ Z MARSJA, słuchowisko radjowe. Warszawa, skład główny w Księgarni F. Hoessicka.

Gwiazdy były zawsze kochankami poetów; nie więc dziwnego, że nawet taki miłośnik rzeczywistości ziemskiej, jak autor „*Rzemiosł*”, „*Przemysłów*” i „*Liścia dębowego*” uległ sugestji połączenia radjowego Ziemi z Marssem i osnuł na niej *poemat dramatyczny*, który nazwał „*słuchowiskiem radjowym*”. Jesteśmy na szczycie *Everestu*, udostępnionym już dla wszystkich (rzecz dzieje się np. w r. 1950), gdzie prof. *Robinson* ustawił olbrzymi teleskop, aby w chwili największego zbliżania się obu planet móc zapomocą niego obserwować odpowiedź Marsa na wyslaną tam depeszę. W towarzystwie profesora znajduje się poeta *Charlie Brown*, który spodziewa się wreszcie spełnienia tęsknoty za braterswem gwiazd, i jego ukochana, córka profesora, *Mery*. I ona czeka na sygnał. Ale na razie

Milczą Himalaje.

Czasem zbudzony orzeł zatrzępoce, szponami kamień do przepaści strąci, i długo słysze, jak spada po skałach i głuchym trzaskiem porywa kamienie kamień, strącony szponem orla.

W rozmowie z *Charlie* skarży się *Mery*, że dla niego ważniejsza astronomja, poezja, metafizyka niż ona, ale on widzi w niej syntezę wszystkich gwiazd. Do odbiornika na *Everest* zgłasza się *Chicago*, *Berlin*, *Moskwa*, *Fudzi-Jama* i zalecają swoje produkty *Marsjanom*. *Robinson* wysłał sygnał: dwa razy dwa jest cztery. *Marsz* odpowiada (tak przynajmniej twierdzi poeta): dwa razy dwa jest pięć... *Robinson* jest tem przerażony, nie wie, co będzie dalej i postanawia zwrócić się do *Ligi Narodów*, by ułożyła ostatnią szczerą odpowiedź dla *Marsjan*.

To zachowanie się *Robinsona* po rzekomem otrzymaniu pierwszego sygnału z Marsa jest zupełnie niezrozumiałe i odbiera wszelki sens założeniu akcji, a służy autorowi tylko do tego, by mógł w części drugiej, w obradach *Kongresu Porozumienia z Marssem* (t. II, s. 10), w końcu

Narodów, wychłostać dzisiejsze zmaterializowanie „*cywilów* naszej” ludzkości (niecywilizowana jest lepsza), objawiające się w propozycjach delegatów co do tekstu odpowiedzi dla *Marsjan*. Motyw ten występował już w części pierwszej w propozycjach miast, więc jego warjanty nie budzą już zainteresowania. Jedynie „*Głos I*” o *Krzyżu* i *Synu Człowieczym* i *Głos kobiety* o *dzieciach*, odbijają korzystnie od banalności reszty odpowiedzi. Niespodziewanie zabiera głos *kapelmistrz*, który słyszy w wirze zbliżania się *Boga*, a *Charlie Brown* poznaje w nim *Beethovena* i głosi pochwałę poezji, jakby ona miała być odpowiedzią:

Jest kilkanaście strof, przez które przecieka życie ludzkie strugą, strofy, na które czekał długo świat, zapatrzonny w szarą chmurę. Słyszac, jak bije przez nie życie, jak się poezji ukrop jarzy, można ze szczęścia w oczach, w twarzy umrzeć w spokoju i zachwycie! Dla tej miłości życie warte, żeby je zlać, albo zbawić, drapieżnem piórem, wierszem skrawać żywcom wydartą z siebie kartę...

Niestety, tych strof *Charlie* nie układa, bo do sali obrad wdziera się głodny tłum i żąda robicia teleskopu dla uniknięcia konkurencji *Marsa*. Przewodniczący ufa, że policja przywróci rychło porządek, ale oto w części trzeciej obserwatorium na *Everest* jest zdemolowane, na gruzach myszkuje złodziej, *Brown* wyraża nadal wiarę w *Marsa*, *Robinson* ostrzega go przed marzytelstwem, zabronionem przez policję, *Mery* stwierdza, że szczęścia w oczach do dawnego ładu i wybiera się z ukochanym poetą na stworzenie nowego świata, który kiedyś, za sprawą *Robinsona*, połączy się znowu z *Marssem*.

W epilogu operatorzy kinowi zmieniają dekorację, przez co poeta zaznacza, że jego „*słuchowisko radjowe*” pojęte jest jako scenariusz filmowy. Brak akcji nie kwalifikuje go do filmu, a i do radja nie bardzo się nadaże z powodu mętnej symboliki i niejasności założeń i skutków. Ale sam pomysł, by połączenie się radjowe z *Marssem* uczynić przedmiotem słuchowiska, jest urodzajny. Można by przecież udać w studio jakies dziwne głosy z przestrzeni, podać ich interpretację ludzka i przedstawić wra-

kosmiczne, muzyka kosmiczna (oczywiście robiona w studio) powinny się stać przedmiotem jakiegoś słuchowiska.

*Kazimierz Gołba*, SALWA NAD BRUKIEM, z przedmową K. H. Rostworowskiego, Kraków, Skład główny Gebethnera i Wolffa.

Jakby w odpowiedzi na „*Sygnal z Marsa*” *Mieczysława Brauna* wytyka *dr Gołba* „*Dzisiejszemu światu*”, że buduje nową wieżę *Babel* pod przewodnictwem *Antychrysta*:

Wszyscy za nim, jak jeden, byle w górę, w górę, piętra skoczą na piętra, jak konie na stadion, aeroplanów śmigie rozetną mgieł chmurę i z *Marssem* będzie można rozmawiać przez radjo.

Oburzony na tę djabelską zuchwałość zarozumiałych ludzi, woła autor:

Stójcie! o głupi, stokroć głupi, głupi tej tajemnicy niezbadany próg! Czyż zapomnieli nasz rozum śmiertelny i trupi, że tym wszechświatem włada jeszcze Bóg!

Gdy skinie, to się zerwie taka zawierucha, w gruz zwali wieżę *Babel*, światy zmiecie w pył Człowieku, jeśliś serca nie miał tu, ni ducha, ślad nie zostanie, żeś wszechmocny był.

Nad ten współczesny *Babel* puszczą autor swą „*salwę nad brukiem*”. Aby się usprawiedliwić, co widział w *karnawalowy* wieczór może pod *Starym Teatrem*: „*Tu w powozie się rozparł bruchaty dobrodziej — i z aktorką się wlece do swojego domu — pan minister, już jutro napiszą, że — złodziej!*” Tam przyjechał na redutę pan prezydent miasta, „*specjalista, jak cudze wprowadzać żony*”, tu znowu profesor przechodzi z parasolem przez błoto i płaci pod murem — rozkosz, a takie same sprawy zalatwia poeta w kawiarni, adwokat i rzemieślnik znowu pod murem, czterej bandyci — znowu pod murem. Przerażony temi scenami pod murem autor wspiera się także o ścianę, a tu go ktoś pyta: ojść z panem? — Tego już za dużo. Więc autor woła:

Wy utaplani w błocie życia, w brudzie, czyści dla świata, w duszy — lotry, dranie, wy profesory i sędzi — w obłudzie, wy, coście młodzież wzięli w wychowanie, że macie zaprawdę, byćcie byli ludźmi!

Chwyta więc za żelazny pręt i wali, pluje, hańbuję... Pogróżki jego tem są groźniejsze, że w „*Pana sierżanta słowie do cywilnego narodu*” „*psioczą*” wszystkim cywilom:

Idź, drzyj się, o co chcesz, cywilu stracony, niech cię zarzają (1), gdy pleciesz androny, lub pysk stul, bydlę — ty — wół!

Uspokaja się dopiero autor, gdy rozpamiętawszy *bitwę pod Radzyminem*, wygraną dzięki *blagosławieństwu nuncjusza* lub „*Manifest Mussoliniego*”. Jakis most, prowadzący od „*wczoraj*” do „*jutra*” budzi w nim myśli o przemijaniu dzisiejszych wielkości i nadzieję:

A most trzeszczy... most trzeszczy... Jutra niema, niema, wieczne Dzisiaj się kłębi, a świat głupstwa górą, i ja, w głupstwo zakuty po uszy, poemat śnię... Ha, dość już, ni słowa, liczę się z — cenzurą.

Niestety, autor liczył się tylko z cenzurą — policją, a nie dbał zupełnie o cenzurę — literacką, skoro, jako poważny już obywatel, puścił w świat ten żółty tomik, którego żółta oprawa harmonizuje z żółcią, przepelniającą mu wątrobę i zaciemniającą wzrok (wątrobowcy podobno wszystko widzą żółto...), a czerwien liter tytułu symbolizuje radykalność jego sądów i osądów świata. W wierszu o 6 listopada 1923 r. (*Genjusz Wyzwolenia*) wzywaniem imienia *Wyspiańskiego* i traktowanie go za — pan brat („*Wyspiański, stój bracie, cyt, cyt!*”) świadczy w każdym razie o — wysokim mniemaniu o sobie.

*Marjan Konarski*, NAPRZECIW RADOSCI, poemat, Kraków, Gebethner i Wolff. Pamiętnik liryczny młodego poety zakończony jest *post scriptum*. Ponieważ poeci mają coś z kobiet, a kobiety właśnie w dopisku umieszczają, o co im właściwie idzie, czytamy najpierw koniec, by się dowiedzieć, że:

Rozwartem się, jak okno, oddalem wam od mych drzwi klucz dłoń otwartą niosę wysoko, bóg się waszych patrzących óca,







**Kącik dla Pań.**

**Zwiastuny zimy.**

Kraków, 7 września.  
 Już w pierwszych dniach jesieni, nawet jeżeli są całkiem ciepłe, ukazują się w oknach magazynów pierwsze zwiastuny zimy okrycia futrzane.

Tego roku faworytami sezonu są czarne karakulę perskie i breitszwance. Czarne te futra rozjaśniają jasne kołnierze z popielic przy karakulach, z gronostajów przy breitszwancach.

Ale nietylko te wybitnie kosztowne futra są modne. Bardzo mile widziane są także źrebce czarne, brązowe i beige. Ze względu na ich trwałość są źrebce idealnym futrem sportowym.

Obojętne szlachetnych futer widzimy dużo imitacji, które ozdobione puszystym kołnierzem, prezentują się całkiem nieźle.



Zgrabny płaszcz dla młodej panny z imitacji szynszylki.



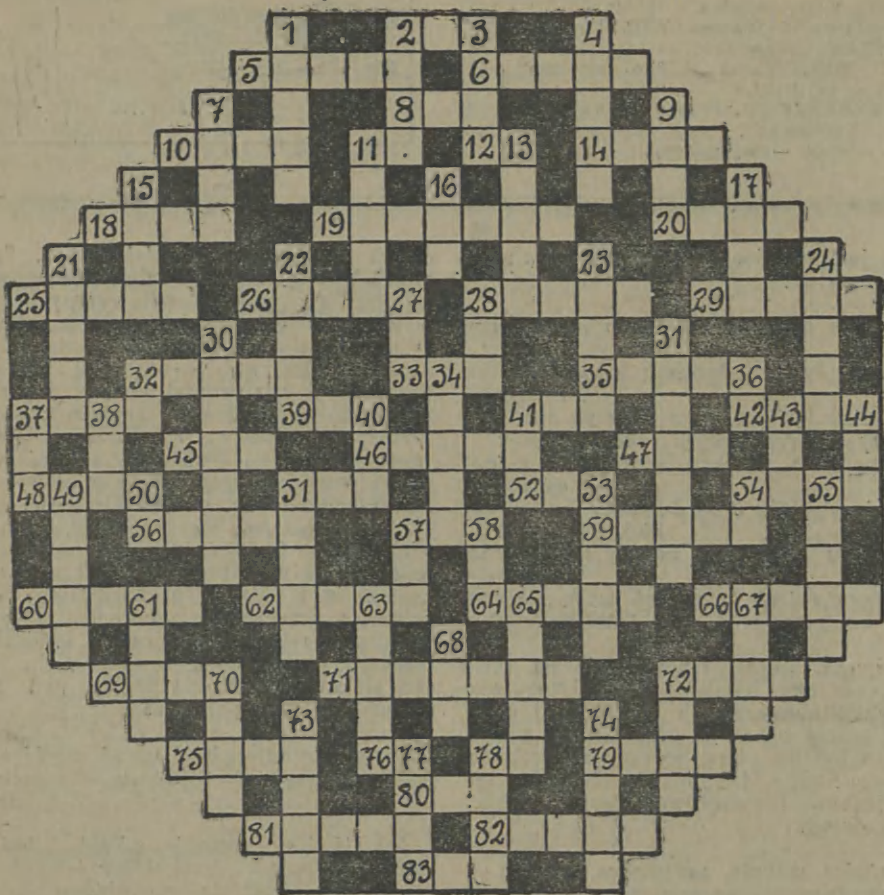
Elegancki płaszcz z piżmaków z dużym kołnierzem z lisa.



Prawdliwie wytworny płaszcz z czarnych karakulów perskich, przybrany skunksem.

**Szarada krzyżykowa Nr. 36.**

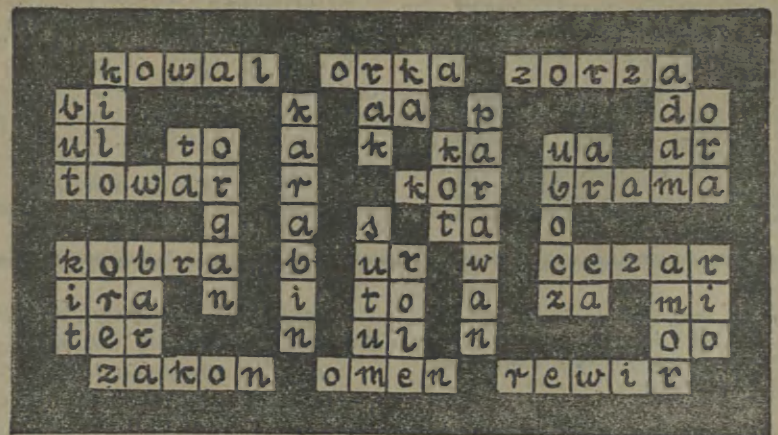
(Ul. Alf ze Swarzędza).



**Pionowo:** 1. tytuł opery, 2. muza, 3. skroplona para wodna, 4. brat Romulusa, 7. jednostka masy, 9. tytuł władcy Wenecji, 11. rzeka we Francji, 13. obawa, 15. bóg germański, 16. zaimek, 17. bogini grecka, 21. muza, 22. tonacja muzyczna, 23. wyspa — ojczyzna Odysseusza, 24. podziałka, 27. owad, 28. patriarcha rodu ludzkiego, 30. miasteczko sławne bitwą Greków z Persami, 31. wyspy na morzu Śródziemnym, 32. rzeka we Włoszech, 34. stadium przeobrażenia owada, 36. miara powierzchni, 37. ptak, 38. głowa, 40. trośczyk, 41. wąż, 43. służy do spajania metalu, 44. ściana, 49. łąka, 50. pierwiastek chem., 51. postać z trylogii Sienkiewicza, 53. korona księżca, 54. litera fon., 55. zasłona, 57. okres czasu, 58. przykrycie w pościeli, 61. forteca, 63. elektroda, 65. drzewo czarne, 67. góry w Europie, 68. utwór poetycki, 70. trąba, 72. miasta polskie, 73. barwa, 74. imię żeńskie, 75. duży pokój, 78. u prawa gąbki.

**Poziomo:** 2. Czarna zasłona, 5. wieża narodów, 6. żywioł, 8. litera fon., 10. ptak, 11. litera grecka fon., 12. zaimek (wspak), 14. pole, leżące odlegiem, 18. imię żeńskie, 19. poeta polski, 20. port w Arabji, 25. narzędzie rolnicze, 26. miasto woj., 28. ski, 29. Iódz, 32. zbiór przepisów, 33. piwo angielskie, 35. niespodziewane bankructwo, 37. figura geometryczna, 39. pierw. chem., 41. zabawa, 42. państwo w Indiach środk., 45. uczeń, 46. kolor, 47. roślina, 48. imię psa z powieści Sienkiewicza, 51. wąż, 52. budynek, 54. substancja lotna, 56. kiść, 57. skorupiak, 59. postać z powieści „W pustyni i w puszczy”, 60. instrument muzyczny, 62. twierdza znana z powieści Sienkiewicza, 64. pies, 66. dawna machina wojenna, 69. zwierzę, 71. miasto w Andaluzji, 72. drzewo, 75. rzeka w Hiszpanji, 76. karta, 78. zaimek, 79. góry w Ameryce połudn., 80. dawna miara pow., 81. wzór, 82. wyspa na m. Śródziemnym, 83. pan w jez. tureckim.

**Rozwiązanie szarady Nr. 35.**



**ROZWIĄZANIE SZARADY Z NR. 36:**  
 Kamienica.

**ROZWIĄZANIE REBUSU Z NR. 36:**  
 Trzeba Treviranusowi wybić z głowy Pomorza, bo morskiej choroby nabawić się może!

**Wesoły kącik.**

**WET ZA WET.**

(L) Córka (z irytacją): — Ile razy zaczynam grać na fortepianie, to ten balwan z przeciwka zaczyna grać na trąbki!  
 Ojciec: — Tak, ale ty zawsze pierwsza zaczynasz!

**ZAWSZE TEN SAM.**

(L) Gość: — Pst! Kelner! Proszę o kartkę korespondencyjną!  
 Kelner: — Ach! rozumiem: kartkę korespondencyjną naturalną — raz!

**TROCHE KŁOPOTLIWA PERSPEKTYWA.**

(Z. K.) — Chętnie umarłbym dla pani... ubóstwiał!  
 — To się łatwo stać może... Niebawem mąż mój wróci do domu.

**DOBRE WIDOKI.**

(Z. K.) Ojciec egzaminuje konkurenta córki:  
 — Jakże pan ma widoki na przyszłość?  
 — Bardzo dobre, mam bardzo bogatego wuja, który jest krótkowidzem, pije dużo, sam jest szoferem na swym aucie, jeździ wściekle szybko i właśnie kupił sobie nowe, wysięgowe auto 100 H. P.

**W KLUBIE EMANCYPANTEK.**

(L) — Wypijcie moje panie swoje piwo! Właśnie nadchodzi mój mąż, będzie musiał ugotować nam kawę.

**TAKŻE POCIECHA.**

(L) Stara panna: — Jedną przynajmniej pozostaje mi pociecha: wyjść zamaż można nawet kilka razy, ale zostać starą panną... tylko jeden raz.

**ZREĆZNE OBURZENIE.**

(L) On: — Gdybyśmy nie byli w łódce, pocałowałbym panią.  
 Ona: — Proszę w tej chwili przybić do brzo-gul

**WYJAŚNIŁ.**

(jp) — Dwa lata już jest pan separowany, a przecież żyje pan z żoną razem!  
 — Bo nie stać nas na prowadzenie podwójnego gospodarstwa.

**W NOWO WYBUDOWANEJ KAMIENICY.**



— Chodź kochanie i ustaw meble należycie, gdyż właśnie przejechał ostatni omnibus.